

**O dzban
czarnoleskiego miodu**

O dzban czarnoleskiego miodu

Pod redakcją:

Adolfa Krzemińskiego i Mariana Popisa

2021

O dzban czarnoleskiego miodu

pod redakcją: Adolfa Krzemińskiego i Mariana Popisa

Fotografie: Archiwum Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie

© Copyright by: Stowarzyszenie „Dziedzictwo i Rozwój”
Stowarzyszenie Grupa Literacka „ŁUCZYWO”
Stowarzyszenie Miłośników Poezji Jana Kochanowskiego
„RENESANS”
Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie

ISBN 978-83-929043-7-3

Korekta: Adolf Krzemiński, Karol Alichnowicz

Opracowanie wydawnicze: Marta Pobereszko

Druk, oprawa i opracowanie wydawnicze:



Sieć Badawcza Łukasiewicz - Instytut Technologii Eksploatacji
Wydawnictwo Naukowe
26-600 Radom, ul. K. Pułaskiego 6/10, tel. centr. (48) 364-42-41
e-mail: instytut@itee.lukasiewicz.gov.pl <http://www.itee.radom.pl>

Wstęp

*... Wielcy ludzie mają to do siebie, że w dziejach swej ojczyzny
a nawet historii świata stają się nieśmiertelnymi...*

Ksiądz Jan Wiśniewski

Ogólnopolski Konkurs Literacki „O dzban Czarnoleskiego miodu” organizowany jest od 1992 roku w ramach Czarnoleskich Spotkań Sobótkowych. Celem konkursu jest promocja poezji inspirowanej życiem i twórczością Jana Kochanowskiego oraz ideami humanistycznymi epoki Renesansu europejskiego i polskiego.

Utworky poetyckie nagrodzone i wyróżnione w tym konkursie były publikowane już w wydawnictwach książkowych obejmujących lata: 1992–2001; 2002–2011. Obecna trzecia edycja jest pokłosiem konkursu organizowanego w latach 2012–2021.

W 2017 roku Stowarzyszenie „RENESANS” przy współpracy z Radomskim Towarzystwem Fotograficznym i Muzeum Jana Kochanowskiego przeprowadziło I edycję Konkursu Fotograficznego „FOTO POETICA”, adresowanego do uczniów szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich. Tematyką prac fotograficznych była poezja i miejsca związane z życiem i twórczością Jana Kochanowskiego.

Oddawane czytelnikom wydawnictwo zawiera także prezentacje osób i zespołów uhonorowanych Nagrodą im. Jana Kochanowskiego przyznawaną przez Kapitułę Stowarzyszenia Miłośników Poezji Jana Kochanowskiego „RENESANS” za zasługi dla kultury regionalnej, folkloru i sztuki ludowej.

Gratuluje i dziękuje laureatom konkursów literackich, fotograficznych i Nagrody im. Jana Kochanowskiego za działalność na rzecz naszej polskiej kultury i kultywowanie pamięci po „ojcu poezji polskiej” – Wielkim Janie z Czarnolasu.



Składam serdeczne podziękowania Panu Zbigniewowi Buczmie – Prezesowi, Pani Bogusławie Jaworskiej – Wiceprezes i Zarządowi Stowarzyszenia „Dziedzictwo i Rozwój” oraz Panu Adolfowi Krzemińskiemu – Prezesowi Stowarzyszenia Grupa Literacka „Łuczywo” za przyczynienie się do wydania tej publikacji.

Marian Popis

Prezes Stowarzyszenia Miłośników
Poezji Jana Kochanowskiego
„RENESANS”

Laureaci Nagrody im. Jana Kochanowskiego

2012–2021



1. *W dziedzinie teatru:*

Zespół Obrzędowy ze Strykowic Górnych – za całokształt dokonań w zakresie opracowania i inscenizowania zwyczajów i obrzędów ludowych.

2. *W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:*

Zespół Śpiewaczy z Mierziączki – za znaczące dokonania na polu kultuwowania autentycznej pieśni ludowej.

3. *W dziedzinie muzyki:*

Piotr Bąbolewski – dyrygent **Młodzieżowej Orkiestry Dętej Miasta Zwolenia** – za wyjątkowe dokonania w zakresie muzyki i sukcesy Orkiestry z okazji jubileuszu 20-lecia tej formacji.

Sławomir Dobrasiewicz – instruktor **musztry paradnej Młodzieżowej Orkiestry Dętej Miasta Zwolenia** – z okazji jubileuszu 20-lecia Orkiestry za wypracowanie spektakularnych form prezentacji i sukcesy Orkiestry.

1. W dziedzinie literatury:

Jacek Jan Tatak – poeta ze Zwolenia – za całokształt dorobku literackiego, a także za publikacje o tematyce regionalnej.

Jan Zdzisław Brudnicki – krytyk literacki z Warszawy – za twórczy wkład w rozwój kultury regionalnej i narodowej.

2. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Zespół Śpiewaczy z Rudek, gmina Przyłęk – za odkrywanie i kultywowanie piękna dawnej twórczości ludowej.

3. W dziedzinie muzyki:

Piotr Markowski – instruktor muzyki ze Zwolenia – za upowszechnianie muzyki polskiej, zwłaszcza za krzewienie kultury muzycznej wśród dzieci i młodzieży.

4. W dziedzinie ochrony środowiska kulturowego człowieka:

Maria Jaskot – kierownik Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie – za troskę, dbałość i promowanie dawnej kultury polskiej, a w szczególności piękna języka polskiego i narodowych tradycji.

1. W dziedzinie literatury:

Izabella Mosańska z Radomia – za liczne publikacje popularyzujące instytucje kultury Radomia, za popularyzację historii regionu oraz za własną twórczość poetycką.

2. W dziedzinie muzyki:

Młodzieżowa Orkiestra Dęta Miasta Zwolenia – za wyjątkowe dokonania artystyczne w dziedzinie muzyki, za liczne koncerty i za popularyzację Zwolenia w kraju i za granicą.

3. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Zespół „Kazanowianki” znad Iłżanki z Kazanowa – za pielęgnowanie tradycyjnej kultury ludowej, za liczne występy w gminie i w regionie radomskim oraz za popularyzację miejscowych pieśni i Kazanowa na terenie całego kraju.

1. W dziedzinie literatury:

Cezary Imański – nauczyciel historii ze Zwolenia – za autorstwo publikacji książkowych związanych z regionem zwoleńskim, a także za popularyzację wiedzy o ziemi zwoleńskiej.

2. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Zespół Śpiewaczy „Korzenie” z „Łaguszowa” – za czynny udział w festiwalach i dożynkach, a także za przekazywanie ludowych tradycji młodemu pokoleniu.

3. W dziedzinie teatru:

Grupa Teatralna „Przymierze Pokoleń” z Lipin (przy Zespole w Grabowie n. Wisłą) – za popularyzację kultury teatralnej nie tylko na terenie gminy.

4. W dziedzinie ochrony dziedzictwa kulturowego:

Eugenia Januszewicz z Policzny – za autorstwo publikacji artykułów i książki popularyzującej wiedzę o miejscowości Policzna oraz o życiu i twórczości Jana Kochanowskiego.



1. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Zespół Folklorystyczny „Gotardowie” ze Zwolenia – z okazji minionego 40-lecia działalności artystycznej. Zespół pod kierunkiem Joanny Tęczy opracował wiele programów śpiewaczych, tanecznych i obrzędowych. Prezentował je na terenie całego kraju, zdobywając liczne nagrody, a jednocześnie w godny sposób popularyzował ziemię zwoleńską.

Zespół Śpiewaczy „Łaguszowianki” z Łaguszowa – za wieloletnią działalność folklorystyczną i za popularyzację gminy na arenie całego kraju. Zespół jest laureatem wielu nagród i wyróżnień na przeglądach regionalnych i ogólnopolskich.

Lucyna Wolszczak – śpiewaczka ludowa z Czarnolasu. Pani Lucyna Wolszczak była współinicjatorką i wieloletnią kierowniczką zespołu ludowego w Czarnolesie. Zespół pod jej kierunkiem jako pierwszy z regionu radomskiego zaprezentował się na Sejmiku Wiejskich Zespołów Teatralnych w Tarnogrodzie.

1. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Natalia Przepiórka – kierowniczką zespołu i animatorka z Grabowa, gmina Przyłęk – za opracowanie wielu programów śpiewaczych i obrzędowych z grupą dorosłą i młodzieżową. Zespoły te odniosły wiele sukcesów na szczeblu regionalnym i ogólnopolskim. Pani Natalia Przepiórka jest również laureatką Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego na szczeblu centralnym.

2. W dziedzinie ochrony dziedzictwa kulturowego:

Justyna Mierzejewska-Figura, gmina Policzna – pedagog, wieloletni dyrektor Szkoły Podstawowej im. Jana Kochanowskiego w Czarnolesie, Prezes Towarzystwa Przyjaciół Czarnolasu – za owocną działalność pedagogiczną i odegranie ważnej roli w wychowaniu i kształtowaniu aspiracji i podnoszeniu poziomu intelektualnego kolejnych generacji młodych ludzi.



1. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Jadwiga Skoczyła z Mierziączki – kierownik Zespołu Ludowego „Mierziączka” – za całokształt działalności folklorystycznej i podtrzymywanie tradycji ludowych.

Krzysztof Maślanek – twórca ludowy z gminy Policzna – za dokonania w zakresie autentycznego folkloru.

2. W dziedzinie teatru:

Izabela Ronduda – dyrektor Lipskiego Centrum Kultury – za wieloletnią działalność na polu prezentowania i popularyzowania teatru profesjonalnego i amatorskiego oraz za wyjątkowe dokonania w dziedzinie kultury żywego słowa.

3. W dziedzinie ochrony dziedzictwa kulturowego:

Natalia Anna Wieczerzyńska – dyrektor Domu Kultury w Zwoleniu – za wypracowanie i realizowanie bogatego programu popularyzacji wiedzy o mieście i regionie, za podtrzymywanie miejscowej tradycji oraz za inspirowanie ambitnych i wartościowych inicjatyw kulturalnych i artystycznych.



1. W dziedzinie teatru:

Małgorzata Bernatek – Dyrektor Szydłowieckiego Centrum Kultury – za całokształt działalności w zakresie popularyzowania teatru profesjonalnego i amatorskiego, a także za wieloletnie i systematyczne działania na polu krzewienia kultury żywego słowa.

2. W dziedzinie muzyki:

Kapela Józefa Wyrwińskiego z Korzyc – za wieloletnie kultywowanie tradycyjnej muzyki ludowej przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

3. W dziedzinie folkloru i sztuki ludowej:

Stanisława Baran – Kierownik Zespołu Ludowego „Sobótka” z Czarnolasu – za znaczący dorobek w dziedzinie wydobywania, opracowania, prezentowania i dokumentowania autentycznej kultury ludowej.



Pokłosie
Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego
„O dzban czarnoleskiego miodu”

za lata 2012–2021



I nagroda

Beata Patrycja Klary

Znikający ojciec

*W niebie szczerze rozkoszy, a do tego wieczne,
Od wszelakiej przekazy wolne i bezpieczne*

Jan Kochanowski, *Tren XIX albo sen*

I

To już siedemset trzydzieste odejście słońca za horyzont. Druga rocznica. Przybyło grobów przy twojej kwaterze. Nie jest już tak cicho. Na jednej z ławek odbywa się orgia czułości. On zapina sandał na nodze zdobionej tatuażem, a wtedy jej śmiech podrywa wróble z krzaka. Kamieniarze kładą podbruk, docinają marmury. Tu wiele się dzieje.

Matka coraz smutniejsza. Posprzątała papiery i ciuchy. Zachowała tylko twoją kolekcję fajek i kaset video z niegrzecznymi filmami. Pokoje straszą pustką, bo więcej mieszka z wnukami, niż w ścianach starego lokatora.

Śmierć jest tylko przewodzką.

II

Śmierć jest tylko przewodzką do większych przestrzeni. Rozpina agrafki. Czasem prostuje zakola rzeki i osusza łąchy.

Potrafi się spóźnić. (Młoda kobieta ma nowotwór układu limfatycznego. Boi się o płodność. Wyjmują jej jajniki i składają w ciekłym azocie. Poddaje się terapii. Wtedy wszywają jajniki z powrotem, a ona zachodzi w ciążę i rodzi zdrowe dziecko).

Teraz już rzadko chodzę na cmentarz. Czarne ciuchy noszę bo lubię, choć niektórzy myślą, że to żałoba. Mylą się. A jednak od dwóch lat nie tańczę.

Nogi w drewniakach oglądam dokładnie.

III

Wczoraj w szufladzie znalazłam okulary. Uderzyła mnie ich trwałość. Robili je dla ciebie na zamówienie. Pewnie powiedziałaś: *przetrzyj je delikatnie i uważaj – szkło jest takie kruche*. Jak mężczyźni, którzy wiedną szybciej. Biorą coś na wzdęcia albo na wapory. Ratują się psychedryną.

W kwadracie 35 C leżą dzieci. Przy jednym z grobów zawsze ktoś siedzi. Skubie dłoń. Jego stara skóra jest tylko skórą, to wszystko czym mogłaby być. Ukradkiem spoglądam na tablicę. *Urszulka. Żyła trzy lata*. Tyle się dzieje pod palcami, na krawędzi opuszków, które dotykały tych co zniknęli.

To dlatego – musimy strzec naszych umarłych.



Dom jedwabnych motyli

*Pociesz mię, jako możesz, a staw się przede mną
Lubo snem, lubo cieniem, lubo marą nikczemną"*

Jan Kochanowski, *Tren X*

I. Chwilę przed północą

Ciemność jest gęsta od zdarzeń. W szafie gęsto jest od gąsienic. Najpierw tylko na półkach z bielizną. Wychodzą z wypranych majtek i piżam. Potem z kieszeni garniturów czyszczonych chemicznie.

Słychać drżący ruch. Starasz się o tym nie myśleć. Wracają słowa – *Dzieci zmarłych w szpitalu nie wydaje się bez pokrojenia. Proszę wyrzucić zgodę. Podpisywania papierów nie pamiętasz. (Mężczyzna otworzył lodówkę i przerzucił na stół zakrwawione ciało. Coś krzyczałaś: że trzeba go ubrać, że owinąć w kocyk i żeby nikt się nie ważył zdjąć koca przed zamknięciem).*

II. Północ

Wracają głosy: *Weźmie sobie pani kartonową trumienkę, zapakuje ciało do bagażnika i zawiezie do domu. Stoisz w osłupieniu. Mijają sekundy, a ty nie możesz wydusić zdziwienia. Tracisz przytomność, a może przysypiasz.*

Zaczyna się czas oprzędu. Gąsienice owijają się nićmi. Siatka wokół sprawia wrażenie łatwej do rozerwania, ale kiedy ruch z boku na bok wzmagą się, a jedwab twardnieje, kokony są gotowe. Robi się ciasno i duszno.

III. Chwilę po północy

Kokony są już na tyle mocne, że mogą ochronić gąsienice. Teraz wszystko dzieje się w ciszy. Przestajesz się bać, bo owinęłaś syna najszczelniej jak umiałaś.

Kiedy zanurzasz szklanę
woda nabiera życia. Rzecz jest
zawsze w umieraniu, nigdy w śmierci.



II nagroda

Anna Piliszewska

Raptularz czarnoleski – ostatnia zima z córką

Przyjeżdżali do dworu – płozy znaczyły linie, trzaskał bat i przecinał
Świst kryształki powietrza, cienie biegly, parskąły
Gniade konie na mrozie. Od pół wicher przywiewał garście
Sypkiego puchu, lizał sopte a dzieci z okien śledziły śnieżność
Dymiącą w chrapach zwierząt – siłą, miłąką jak sól.

Śmiał się – w bobrowej szubie
Z warg upuszczał obłoki, wsuwał kciuk w wory ziarna: wtenczas dostrzegął
Stogi, łany, dziewczki schylone z sierpem, z błyskawicami
Światła u bosej stopy, chłopskie karki spocone, starców
Śniących sobótki. Naraz skrzypiał

Cizmami i dostojnie odchodził
Do swych ksiąg rozchylonych, do zapachu inkaustu, do córek –
Im przy świecach opowiadał miliony
Dziwów z Bolonii, z Padwy – chichotały, tarmosząc
Brodę w skręconych puklach. Coś szeptało w kominie,
Coś się ciągnęło wskroś pół...

Trzepotały skrzydłami kruki w klatce powietrza, nad piecem
Suszone myśli, prześcieradła i chusty. Świerszcz wygrywał godziny.
Psy leniwie turlały żółte kości pod stołem – szczęście
Chwiało się w tremach, w zwierciadelkach i puzdrach,
W grubych szklanicach wina... Cierń
Zapuszczał korzenie.

Przyjeżdżali do dworu – płozy znaczyły linie, trzaskał bat i przecinał
Świst kryształki powietrza. Śmiał się,
Tupał cizmami stojąc w bobrowej szubie, z ust upuszczał obłoki,
A mole gryzły jedwab – posag w okutych kufrach. Nie słyszał
Jak krąży chłód; kreślił kręgi, nim musnął. Nie przeczuł,
Że w zegarach się słoneczność zamyka...



Muzyka u Jana - Koncert Czarnoleski

To srebrna sala pełna kryształowych luster,
W których drgają obrazy - światła chwieją, tańczą.
Wymykają się błyski z ciężkich kandelabrow:
Biegną liniami taktów, w ślad za echem - z melodią...

Muzyka się kołysze, upada jak krople:
Toczy się pojedynczą łąką białego wosku
Z połączonych lichtarzy, to znów iskrzy
Miliardem tęczyowych błyskotek
W fioletowych, wygiętych kiściach
Mokrego bzu. Gra
W misternej egrecie, w kruchych szkiełkach binokli.

Falą muzycznych dreszczy, ważką fruwa melodia, wpada
W lipy za oknem,
W deseń czarnej koronki otwartego wachlarza -
Czyjaś alabastrowa dłoń w jedwabnych mitenkach
Delikatnie zadrżała...



Raptularz czarnoleski - ulewa

Długo dudniły szyby – tętent przezroczystych, pryskających w sień kropli
Jeszcze ugiął myśli, jeszcze grała ulewa, choć rozmyła się tęcza, niebo było
Różowe, czyste, lekkie jak palec stukający w klawikord – w zamyśleniu, ostrożnie.
I nikt by nie pomyślał, że podniebna batalia podeptała zagony, rozdmuchała hen!
Ziarna, że się wstydliva ziemia rozebrała
Z korzeni, z onuc łądyg zielonych. Trwała naga i ciemna, z lusterkami kolein
Wyzłobionych przez wozy. Drwiła, gdy bosci chłopci brnęli w błocie do dworu
W rozchełstanych siermięgach, by upraszać się zgrzebnie
Łasi pańskiej pociechy.

Rozchmurzali się wolno, skrobiąc czarnym paznokciem darowane denary
[oraz śliskie
Półgrosze. Odjeżdżali, dźwigając
W myślach korce pszenicy, żyta i ciężkie kosze rumienistych owoców, konie
Poparskiwały, odganiały chwostami roje much i komarów, nim wytoczył się
[promień
I kłębiaste obłoki rozjarzyły się złotem. Stał na stopniach, spoglądał...

Zaraz zniknie w alkierzu, a Dorota dopatrzy
Reszty – będzie przeliczać w skrzyniach sakwy i trzosi, gdy on w pustej
Komnacie westchnie, siądzie za stołem, żeby wreszcie spokojnie
Myśleć świat i go gęsim
Piórem tropić i chwytać...



III nagroda

Czesław Markiewicz

Ja, dziecko z dworca ZOO

Dworzec nie jest już dobrym miejscem do spania. Nic mi się nie przyśniło od czasu, kiedy podkładałem pod głowę kolorowe paciorki i nie śledziło mnie szklane oko wielkiego brata. Mimo to staram się śnić, chociaż ciągle trącają mnie jakieś psy, węszą w moich torbach z których cuchnie zwyczajnie życiem albo w najlepszym przypadku wczorajszą kaszanką albo przedwczorajszym salcesonem, wydartymi z pysków innym psom. Dlatego nie znam właściwego błękitu, niż ten pojawiający się zniecka, zresztą nikt nie zadziera tak wysoko głowy, żeby kaprawym spojrzeniem zagrozić gwiazdom. Pomaga mi poranny kaszel tych, co tu na chwilę. Dla nich wznosi się te wspaniałe sypialnie, chociaż nigdy nikomu z nich nic się tutaj nie przyśniło.

A ja, tutejszy, wiem, że moje marzenia spełniają się do jednego, kiedy tam, gdzie znikają wszystkie ruchome światełka, stalowe bandażę przykryją wielką ranę krwawiącego samotnie na horyzoncie słońca ---



Nie straszni mieszkańcy

To nie jest kwestia wiary. To rozgrywa się na poziomie kilku pięter szarego strachu. To barwne plamy nadziei na wewnętrznej elewacji. Tutaj się mieszka. Niektórzy biorą to za życie. Właściwie jest to umieranie. To najniższa cena bólu. Nie boli szczęście. To my z ostatniego piętra. Mamy pietra. To okoliczny Chrystus krzyżuje spojrzenie. Na szczęście wycieńczony rimejkiem nowego testamentu. Zresztą jest za wysoko. Nikt żywy nie dojdzie z prośbą o łyk cierpkiej nadziei. To on cierpliwie wyrzuca śmieci. Nikt nie grzebie. Czegoś się boimy. Że znajdziemy coś. Boimy się wizyty facetów w czarnych garniturach. Podśluchujemy. Umieranie to wyciszenie radia. To niewyglądanie przez okno. Brak oddechu przeciagu bicia sera. To niczego nie zaświadcza. Wszyscy marzymy.

Na wszystkich poziomach. Żeby ci którzy mają tu z czymś przyjść dali nam spokój. Nie musi być święty. Godzimy się na świecką ciszę. Ciemną wizję. Żeby nic się nie działo. Żeby nic się nie stało. Ani stawało. Bo nikogo nie stać. Na nic. Stać się może wszystko. Może ktoś dokonać zamachu terrorystycznego. Porwać kogoś ze starców z najniższego poziomu dla okupu ich szczęśliwego dożywocia. Może ktoś molestować jedyną umierającą naprawdę tutaj tę którąś z wyższego poziomu. Ktoś może być. Okazać się agentem obcego wywiadu. Ktoś może oskarżyć komitet blokowy o szkalowanie na zamówienie. To nie jest żadna kwestia. To jest ---



Lewa strona obiecanej

Wszystko widać w ślepej uliczce. Na pierwszym planie czas: kocie łby wdeptywane przez beczelnie umierających ludzi, chociaż aktualnie ich na to nie stać. Obok chłopiec toczy przyszłość: rowerową felgę. Jak się dokładniej przyjrzeć: koło fortuny. Za nim starzec wlecze przeszłość: złomiarską dwukołówkę. Jak się dokładniej przyjrzeć: młyńskie koło. W tle samochody dostawcze. Głębiej zasygnalizowana straż ogniowa. Czerwień miesza się z zapachem forsycji. Zapachy wyznaczają temperaturę upływającego czasu: tylko on się liczy. Najpierw forsycje, w środku magnolia, w kondukcje bez. Na drugim planie sklep. W okolicy nikt żywy nigdy nie wykopał pustej butelki po biovitalu. Obowiązuje wyłączność na szkło po bełtach, jakby toczyła się nieustanna bitwa, chociaż nikt nie umarł ugodzony z kuszy. Jest jednak coś na rzeczy: martwy mężczyzna siedzący pod sklepem, ożywa na mój widok. Za każdym razem rozpoznaje we mnie kogoś innego. Niezmiennie pyta: przepraszam, która godzina. Ostatnia: odpowiadam. I z powrotem

nic się nie dzieje. Trwa dostawa. Przybywa chmur i klientów. Wstęp wolny, jak onegdaj Europa. Tylko psy mają zakaz, ponadto obowiązek posiadania kagańca i smyczy. Posiadanie pana, psom chodzi o człowieka, niekoniecznie. W głębi sen. Zza węgła księżyc wszczyna obserwację. Nic już nie widać. Nareszcie wszystko jest takie samo, jak wszędzie na ziemi i pod ziemią, na swoim miejscu, nieprzetłumaczalne jak Bóg, jak Honor, jak Ojczyzna ---



Wyróżnienie

Paweł Podlipniak

Coriolanus [Big Bang]

zamieszkał we mnie człowiek o jasnych tęczęwkach
- narzeka teraz głośno, że jest mu za ciasno
i może go uwolnić tylko wielki wybuch,
kiedy w zamkniętym wanie eksploduje nawóz,
a stłuczone szkło wzleci tuż pod chmurę dymu,
mieszając ludzkie resztki ze strzępami ubrań.

nie wiem, od czyjej głowy zepsuje się ryba
lub jaki *wiatr w jęczmieniu* ponapręży skale
przemocy i cierpienia, skoro wszystkie drogi
prowadzą mnie do miejsca, gdzie żelazne racje
wydziela skąpy kucharz, a nad nim wciąż krąży
rój much - świadkom zabawy żółć do ust napływa.

to gorzkie, ciemne serce, do którego zmierzam,
zagłębiając się w nowe warstwy wiadomości,
ma kształt nordyckiej czaszki porośniętej sierścią
wypłowiałą od słońca, a w jej wnętrzu rośnie
twardy okruch szaleństwa, dalej senne niebo,
fiordy, nad wodą krzyczy szcerwieniła mewa.



No-One Art

*The art of losing isn't hard to master;
so many things seem filled with the intent
to be lost that their loss is no disaster*

Elizabeth Bishop, *One Art*

ćwiczenie samotności wcale nie jest trudne.
najpierw zamykam drzwi (a potem siebie),
wyrzucam klucze zaczynając zapominać
twarze najdroższych w moim życiu osób.
giną mi wszystkie bezsensowne święta,
rocznice osobistych klęsk i listy życzeń.

samotność to nie żadna katastrofa, strata
sensu istnienia czy stan świadomości.
jest tylko puste miejsce na grudniowej plaży
niedawno zmyte zimną, gorzką wodą,
napis wyryty na parkowej ławce,
nagle zwolnione łóżko w obskurnym szpitalu.

ćwiczysz się doskonale sama, bez udziału
osób i znanych miejsc, najszczerzej chęci.
każdy brukuje piekło według własnych potrzeb.
można zapomnieć o tym, lecz na pewno
poczuję wszystko w świąteczny poranek.
jak świeżo boli pustka – nawet gdy nią piszę.



HOWRU [List prokonsula]

oprócz tego, że mieszkam w Polsce – czuję się dobrze.
postanowiłem nie otwierać okien i oczu,
zaszyć pod skórą tani psi czip,
mniej pić i zjadać więcej warzyw,
płacić abonament, uwierzyć w reklamy
– to nie wymaga ani odwagi, ani pogardy,
postanowiłem na razie nie odcinać uszu,
bo i tak powiedzą, że małpuję mistrza z Arles.
a szkoda – cisza uczyniłaby to miejsce
o wiele znośniejszym, zwłaszcza w sytuacji,
gdy każdy obywatel ma jedyną rację.
będę udawał zainteresowanie ich historią,
złożoną głównie z przegranych wojen,
pełną cierpienia za grzechy rozsądniejszych nacji.
zachwycę się budową wspólnego domu na fundamencie
z drewna, na którym kiedyś zawisł człowiek.
postanowiłem jednak podawać rękę na powitanie,
choć wciąż obawiam się, by jej nie odgryźli.
gdy wymawiają moje imię, szybko spuszczam oczy
i biję brawo – najgłośniej jak umiem.
postanowiłem więcej nie wychodzić z domu,
jutro poczytam Tacyta.
z tym krajem łączy mnie już tylko grawitacja
oraz powietrze zbyt rzadkie, by napelnić balon.



I nagroda

Czesław Markiewicz

Hostel Lambert

Krewni w Londynie są jak mocno przesadzone kwiaty. Za dużo wody za mało blasku słońca. Nie boją się papieża bo nie jest już krewnym. Nie oglądają w BBC *samych swoich* bo tam miłość ma cztery litery. Codziennie strzyżenie trawy z zakwasami kapusty kiszonej. Wyrwanie kłaków z funta. Tyle warte ile się da zapamiętać z *miecza z ognia* i innych *potopów*. Tęsknota rozdarta na drutach telefonicznych.

Za dużo krewnych na wspólne *wesele*. Za mało na osobne chrzciny. *Transatlantyk* czasu płynie w jedną stronę. Przerywana linia lotnicza kończy się zawsze nietutejszym westchnieniem. Z prochu powstaje tylko język - z białymi z czerwonymi śladami po podróży ---

Wyciąg z pielgrzymstwa

Dożywamy w lesie. Dzwony spod horyzontu wabią ptaki do wież albo na msze. Sarny pod ambonami zagadane na śmierć. Ułożyliśmy się z dzikami że już nie będziemy się zjadać nawzajem. Żyjemy nadzieją że tryśnie źródło. Zabije serce. Pocieknie ślina. Coś nam wysycha. Coś nam gnije. Wierzmy aż z krzyża wypadają gwoździe. Inni zazdroszczą nam świętych memów przy paśnikach. Uciekamy od świata bez horyzontu szczelnie zamurowanego żelbetonowymi ołtarzami. Wycięliśmy najtwardsze drzewa. Z wiązami i dębami na przecinkach. Żeby więcej zobaczyć bez konieczności wstawania z kłeczek. Tylko

prawdziwi wierni zostawiają ślady albo przykrywają się ziemią. Nie modlimy się o godziwe życie lecz o sensowną śmierć (...)

Mniejsza Emigracja

Rodzinne miasta wyszły z mody. Ale nie wypadły z obiegu. Rozwłócone po świecie zapachy przypalonego mleka. Przydomowy płot grodzi ciągle ten sam kawałek horyzontu. Chociaż nie musimy sprawdzać że ziemia jest naprawdę okrągła. To co wróży ostatni motel na przedmieściach obchodzi nas w obcym języku. Albo bliżej niepczytalnym nawet dla najbliższych. Ale pozostałych rodzinie w opuszczonym miejscu do spania i budzenia się w tym samym śnie. Jak to że *wszystko co nasze* okazało się nagle bardzo małe. Albo tylko pomniejszone o czas. Przestrzeń wywiezioną w okolice markowych manowców -

forsycje na domowym pojeździe. podmiejskie pergole. przekarmione gołębie w śródmieściu. gdzie indziej takie same ale nie te same plomby czasu w licówkach. wrózenie powrotów z zaparkowanego karawanu przed rodzinną klatką schodową. w krewnym mieście. nieograniczonym żadnymi granicami ---



II nagroda

Andrzej Ziobrowski

śnieżynka

gdy noc nam się ścieli
w pohukiwanie sowy cichutko nas przygarnia
śpią wszyscy pospołu pokładzeni mrokiem
stół krzesła kredens już nie brzmią stukotem
cisza jak ten anioł z nieba
sfrunęła na nas leżących pokotem

a za oknem zima bielusieńka i nago roz hulana
przędka puchów co na drzewach leciutko usiadła
skrzydła rozpostarła mrozem tancerka biała
tak kraj biedny omotała pająkową siecią chłodu
w dzień i w nocy wiatrem filuternym z nas się śmiała

czuję ją chłodną i omiatam zmęczony wzorkiem
szlachetnością i gracją dorównuje renesansowi
jest strzelista w kunsztowne wzory ubrana w oknie
śnieżynka dziewczica z nieba darowana hojnie

zima napędziła wiatry wiejące ze wschodu
tam gdzie zorze polarne świecą co dzień
do nas pędzi sotni groźna szpica
Wołgą napojona biała baletnica



drzew chochoły w sadach czarnoleskich

w tym pejzażu drzew chochoły
ocieniają krajobraz w którym jabłonie
szepcą listny pacierz – modlitwę ziemi

wokół dworu daje się go słyszeć jak
łagodny świergot kobiet dochodzący z alkierza
z szeptem letniego zmierzchu
gdy osiada na nas jak motyl co leci
później na belkowaniu dworu odpoczywa zdrożony
jak pielgrzym co w cieniu lipy się chroni

tu słowa brzmią jak struny miętko
bo z najszlachetniejszej frazy serca są ulepione
mistrzostwem Jana

gdzieś daleko Rzym pozostał
jak wiersze co po ogrodach wędrują
nim w nas się schronią frazą najczystsza
zrodzoną w głębi duszy porywem anielskim

tę ziemię uczymy się kochać codziennie
bo w księgach zatopiona jest jej wielkość
w krajobrazach co tak bliskie są sercom naszym
gdy w lipca orgii rozpościerają skrzydła
na polach i w parku czarnoleskim

Mistrzu fraz czułych i wielkich
dokąd mnie wiedziesz ptakami słowami
ze źródeł najczystszych czerpanymi
twoją myślą lotną
gdzie Czarnolas na pokojach uświęconych
niekiedy mnie gości



III nagroda

Agnieszka Szpala

Pocztówka z Czarnolasu

Aleja lip dających cień
Ochłodę po trudach codziennych
Wyzwań i wyznań
Fontanna lekkie muśnięcie warg
O wargi i
Ślad na policzku
Małe dziecko płacze
Przewróciło się na żwirowej ścieżce
Kilka schodów wciąż wzwyż i niewinnie
Splecione ręce
Chciałabym

Na kamiennych tablicach
Stawianych pomników
Wyryto słowa
Wzniosłe i piękne
Ciągłe pada deszcz
Zmywa myśli
Mowy i czyny
Pozostawiając wspomnienia
Psalterzów i ksiąg
I psalmów
Sławiących codzienność
I życie
Pełne uwielbienia



Z piórem
Pełnym dostojeństwem
Książek na półkach
I uczuć
Słów wiązanych w jedno
Za biurkiem marzeń
I codziennych zmagañ
Żony córek i syna
Śmiechów a potem łez
Powstają
Uczono o tym w szkołach
Na każdej lekcji polskiego
Przerabianie trenów
Wybranych kilku zamiast całości
I tak zapomną
Nazajutrz po życiowej klasówce
Tylko ptaki będą śpiewać
I drzewa szumieć



Wyróżnienie

Bogdan Nowicki

Senność

Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany...

Jan Kochanowski, *Tren VII*

Narasta sen po cierniste zdumienie brwi,
Z których sypie się biały
Piasek pagórków, biegnących przez oddech. Wzlatuje
Słodkawy pył
Lip dymiących w powietrzu. Cień ptasiego
Błękitu. Stopy

Wydeptują krajobraz – twarz
I ciche wołanie, szelest
Drzew w krzywych sadach, ostrza krawędź
Promienia. Psy szczekają w opłotkach. W chłód

Odfruwasz. I w senność...

Urszula

Las w ciemię uderzony łaską błyskawicy, ciało – łaską zaśnięcia;
w kruchych dłoniach sekunda chce się zamknąć na zawsze – szelest
rzęs, szyba do której przyciska twarz i palce. Wołania
o powrót, niby kruche motyle trzepocące
wśród piasków. Laguny bezdomnych
mórz... Zimno

skórę wygładza coraz niżej
żeber. Piłat umywa ręce...



Lunarność przedmiotów

Wędrowki białych mrówek
W cukrze albo na schodach chrobocącej werandy. W pękniętym,
Glinianym dzbanie stygnie sierpień i nie ma
Rzeczy, za którą musisz się obracać dwa razy, aby pobiec
Zgarbiony w obcą napiętość znaczeń. Gonty
I cegły domu wysrebrzone wczorajszym
Snem. Łóżko pachnie cykuta.

Chudy pies pije wodę ze szczerbatej miski. Cień
Pada, jakby kapał
Z opuszczonych przedmiotów, które z formy wyjęte,
Zmieniają stan skupienia
W spirytualny...



Wyróżnienie

Hanna „AVIS” - Zembrzycka

List do brata

nie zadzwonisz ...
ja też nie...
nie zapytasz
nie powiem
nie zrobię
dla ciebie
już nic...
niepotrzebne koszule i buty
w trzech workach
nie przytulisz
nie będę rozmyślać... dlaczego...
nie umiałam cieszyć się
małym
serdecznym
gestem
chciałam żebyś tak...
z całego... serca
odszedłeś nagle...
bez pożegnania
pusto...
pusto bez Ciebie
po prostu byłeś...
wystarczyło
teraz wiem...
wiem...
to było
szczęście
że jesteś.



to sen...
podobny do drzewa na polanie
w upalny dzień
miraży spragnionych wody i oazy...
na dnie pijana kropla
barwi szkło
to sen...
obudzisz się
inni się nigdy nie budzą...
czas zatrze kontury
szlam wypełni szczeliny
zdumione wypełnieniem...
nie ma mnie
na tej stronie twojego życia...
nie ma daty w kalendarzu...
telefonu...
a... dzwonił...
to sen...
pogubił się czas niezrozumiały
miriady gwiazd krążą pijane
w arteriach światła...
nabieram dystansu
przed autorytetem nie klękam
nie wchodzę w komunie
dotykam niedotykalnego...
To nie był sen..
jeszcze jestem...
Może jutro się nie obudzę



Życie jak herbata

„Sencha księżycowa”
naciąga
już czwarty raz
i ciągle ma ten niezwykły
smak
aż straci i ten...
i nie będzie
chciało się pić
tych
popłuczyn życia...

życia na krechę
na kredyt...
na kredyt zaufania
na czyjś rachunek

Do życia na własny
trzeba dojrzeć
dorosnąć
wydorosnąć...
zaparzyć to życie
jak zieloną herbatę
nie wrzątkiem
żeby nie zabić
a wydobyć cały jego smak



Wyróżnienie specjalne

Zofia Kucharska

Wyrosła rozłożysta lipa
u czarnoleskich wrót
wiatr jej kwiatki porozwiewał
a w złoty dzbanek
skapywał jej miód
ja pojechałam na imieniny
do swojego Jana
Jan mnie poczęstował miodem
ze złotego dzbana
Jan nie umarł
on w cieniu lipy żyje
kto go w imieniny odwiedzi
słodkiego miodu się napije.

Już nas wita piękna jesień
ja się nie smucę lecz się cieszę
bo jest złocista i pogodna
ja jestem do niej podobna
bo przestąpiłam progi jesieni
już włos na głowie mi się mieni
jest srebrzysty na mej skroni
już się przed nim nie uchronię
minęły mi młode lata
jesień jest dla mnie zapłatą
i chociaż mam siwe skronie
to serce mi z radości płonie.



Moja dawna chatka
dziś mi się przyśniła
że na złotej góreczce
cała w słońcu lśniła
i cicho od wiatru
strzechą powiewało
bo mi się w tej chatce
jak w niebie mieszkało
koło złotej górki
leszczyny szumiały
a rude wiewiórki
orzechy chrupały
a złota góreczka
złociła jak złotem
bo ona kwiatami
grodzona nie płotem
a ja wśród tych kwiatów
stałam jak królowa
żebym mogła to bym poszła
mieszkać tam od nowa
bo tam był pradziadków
mych rodzinny próg
jak Heniusiu z mojej górki
ty żeś mnie wyrwać mógł
tam gołębie w naszej strzesze
swoje gniazda wiły
one razem mój Heniusiu
z nami się cieszyły
tam przy górce brzoza
cichutko szumiała
i przechodniom cienia
swego użyczała
tam słońko promienie
na góreczkę siało
wysoka topola
w górę się wspinała
i swymi listkami
z żalu dygotała



żeś mnie z chatki wyrwał
ona tam została
teraz nam drożynę
do górki zawiało
i po naszym szczęściu
śladu nie zostało
czy ci teraz nie żal
szczęścia straconego
już teraz nie wrócisz
bo nie ma do czego.

Jestem sobie ze wsi
wiejska kobiteczka
i za nic mi nie pasuje
być panią z miasteczka
paznokcie u rączek
z pracy pozdzierane
i pięty głęboko
do krwi popękane
włosy na głowie
gładko uczesane
i we dwa warkocze
skromnie uplecione
chusteczka na głowie
do tyłu wiązana
tak nosiły babki ze wsi
od wczesnego zarania
jestem bardzo dumna
że ja ze wsi rodem
byłam w polu
gdy słońce wschodziło
jeszcze z niego nie zesłam
gdy było nad zachodem
wieś jest bardzo piękna
czyste w niej powietrze



praca rumieńce namaluje
gdy się pot z czoła
rękawem obetrze
i tak moja droga
ze wsi do miasteczka
nic mnie nie zmieniła
bo jak byłam tak nią jestem
ze wsi prosta wiejska kobiteczka
i tak moi drodzy
nie trzeba się wstydzić
swego pochodzenia
być tym do zachodu
kim się było od urodzenia.



Wyróżnienie specjalne

Izabela Jaskólska

Stoję.
Czekam kolejny dzień.
Używam tych samych cyfr,
choć sama nie wiem już po co.
Modłę się
o lepszą godzinę
choć nie dbam
by nastąpiła.
Patrzę
i widzę.
Tyle się zmieniło...

Idę
wysoka
wyższa
nieugięta.
Zabijam
to wszystko co dawno powinnam była zdeptać.
Kroczę
patrząc na to co jest pode mną.

Na wysokich obcasach
wszystko
jest łatwiejsze.



Smuga światła
unosząca się nad krzesłem.
I ten człowiek...
Zmęczony codziennością,
powoli bierze do ręki przedmiot.
Po co,
nie rozumiem.
To światło,
oświetla jego twarz,
pozwala topić się w promieniach.
Zobacz.
Nie zdążysz.
Minęło,
jak wszystko



I nagroda

Aleksander Lewicki

Stworzony z gliny,
Dusza od Boga
A ciało z Ziemi Matki...
I zostało w pamięci
Moich kości i krwi...
Razem z wiosną ozywam
W trawie, kwiatach,
Kwitnących sadach...
Moje ręce obejmując
Gałązkę jabłoni
Stają się gałęziami
I soki swoje
Zlewamy w jedno
Padam w pachnące trawy
I już w ich korzeniach
Ziemia Matka tuli
Swego kochanego syna
I upomina, że jestem
Jej własnością,
A Ona - własnością Boga...

(6.03.2014)



Zagubiona dusza
Błądzi po tym świecie,
Puka do ludzkich serc
Tylko nikt nie słyszy...
W wielkim utrapieniu,
Smutku i żalobie
Prosi o ratunek
Wśród obojętności
Ludzi tu żyjących...
Serca ich nieczułe,
Zastygłe w kamieniu,
Miłosierdzia nie ma
Zazdrość ziarno
Swe zasiała...
Cudzej krwi pragnąca,
Znów Kain
Bratu Ablowi
Śmierć zadaje...

(19.03.2014)



Noc, Ty śpisz... tylko gdzie...
A ja błąkam się w ciemności tej
Szukając błękitnej ścieżki księżycy...
Uporczywie szukam, bo sen
Gdzieś uciekł, może do Ciebie...
Niespokój duszy prosi o coś innego...
Zawieszony na szyi krzyżyk
Na srebrnym łańcuszku
Wbija się w moje ciało,
Chce coś powiedzieć, wykrzyczeć...
A duch już odnalazł drogę
I siedzi na różku księżycy...
Razem z nim zagłąda
Do niezawieszonych okien,
Przenika ludzkie zmysły,
Rozkoszuje w ludzkich ciałach...
Lecz tęsknota nie da za wygraną
Wbija się w serce i żal bierze...
Za ludzki los, co sypie się
Jak ten piasek przez ręce -
Nie nadążamy jego zbierać...
A jak chce się być wolnym!
Tylko z czego...
Pustka i cichość...
Księżyc wędrując, ubóstwia ziemię,
Bo gdzież może doznać tyle rozkoszy?
W ludzkich uczuciach - Miłości i Śmierci...

(20.11.2013)



II nagroda

Janusz Pyziński

Nie płacz córeczko

popatrz córeczko ogród Pana Boga
zmałał do rozmiarów naszego ogródka
chowam twoje zdjęcie pod język
może ślina kiedyś powróci z siłą imienia
którego nikt nie urodził

odbijam się w sobie w niezmiennym tempie
nieudolnie noga potyka się o nogę
jak wiśniowy pień o pestki
odrzucone przez ptaki

czasem odzyskuję twarz
by spojrzeć prawdzie w oczy
wtedy akurat jest noc złożonych rąk
w strzelistość katedr
nie mam nawet ani jednej dłoni
by podać ci pluszowego misia
od tego można dostać kota

nie płacz
ten ogród przyciąga wzrok
w oczekiwaniu niebieskich migdałów
na razie porzeczek ma kwaśny smak
ale dojrzeje do czerni
panno moja przykuta do łóżka
niewierzająca w codzienność wnikającą w popiół anatomii
aż stanie się ciszą wypieszczoną fidiaszowym dłutem

póki co zamiast pod powieką niech uwieczni cię w locie
zatrzymanych zegarów w niewiadomym wieku
gdzie wszystko dzieje się na odwrót
aż po cebulki wrywanych włosów



prowadząc na ostatnie piętro
skąd tylko skoczy wrócić do ogrodu

widzisz córeczko
tak to jest gdy brakuje słów
a jeszcze tyle chciało się powiedzieć

Ojciec

a ty wśród zagonów ziarno w kłosy wplatasz
zgrzebne strofy wiersza na pieśni złote jak zboża
przed Chrystusem błędzącym klęczący tłumaczysz
na miedzach siejesz chabry czarną skibę ziemi
ubierasz w kolor pogodnego nieba by żyło się lepiej

dopiero potem przychodzi świt
z drewnianym krzyżem na wprost słońca
którego cień wyznacza drogę na rozstaju
a skowronek zaczyna wieczną pogodynkę
gorliwym pacierzem mocniejszym od ciszy

gwiazdy nie wschodzą od orki do kosy
noc krótka jak mowa kochania
dłonie wysuszone sierpniem
spękane niczym spragniona ziemia
święteczny rosół jeszcze na podwórku

tak bardzo się spieszysz jakbyś chciał zdążyć
na ostatni pociąg
a tu już świerszcze grają marsz późniwny
zbierałeś słowa jak ze ścierni kłosy
w pamiętnik posoką odcisków pisany
pachnący jaśminem i sianem

pamiętam te dłonie na których
chwast chciał zamieszkać
lecz nie miał odwagi



Dzieciństwo

ścielą się skrzypieniem kół piaszczyste drogi
rzeźbione śladami stóp ojca
wspomnieniem matki dźwigającej cały ciężar słońca
z pszenicznych pól
rozpościera się kolczasty drut strzegący tajemnic sadu
ostrzący zęby na chłopiące portki
i kukuryku sługi świtu zabierające głos
w niezaprzeczalnej kwestii czasu płotu
chwyającego w pióra pościeli
całą radość wiatru na dobry sen

stąd wczesnym świtem wychodziłem po rosę
fidiaszowe dłuto wykrawało światło
tarczy okrągłej jak praca
łamało krzyże okien
kapłanka domu malwa bezszelestnie trwała na rogu
smakowała powrót gdy przychodziłem z pszczołami pod próg
pasły się w trawie dorodne grusze i jabłonie
motyl na szerokich plecach stodoły pielęgnował skrzydła

mój dom stał w środku tego świata szarym gęganiem ptactwa
trzymającym się spódnicy matki pachnącej łąnem
urwany w połowie brzask studni mącił pogodne niebo
czeremchy i wiśni pelargonie przylepione do szyby
pilnowały ścieżki by nie dała mi zgrzeszyć
widziałem ramiona ciężkie od pytań
ile aniołów zmieści się w kłosie zboża

upojony nektarem pól dzielę na nas troje
świat czterolistnej koniczyny
dębowy stół apostoł trzyma twardo w dłoni
gorzkie plastry skiby
i wszystkie strony powrotów i początków
psy szczekają na spocone słońce
gdzie mleczne krowy łby na spoczynek niosą
tej drogi dawno już nie ma
na której koń napinał struny postronków
aż chrapy wygrały poloneza



wyrastam jak cierpka tarnina
z odłogów nadziei na lepsze jutro
wznoszę wzrok ku niebu
z uporem ptaka wracając na strych
gdzie w kołysce z pajęczyn usnęło dzieciństwo
gdy buty nie chciały przyjść do mnie
i miska nie rosła wraz ze mną

znów czeszę wierzbę
z lat splatam warkocze w zielony różaniec
z piedestału przestrzeni schodzę boso na ściernie
groby pól widzę puste

wybacz mi ojcze na traktor zamienione konie



III nagroda

Bogdan Nowicki

Dowód

Cóż takiego zrobiła?

Nie pozwala tatusiowi pieśni dokończyć,
Ciężki kałamarz oraz gęsie pióro na dnie bieliźniarki
Chowa, świąteczne pantaloney na zawsze niebieską
Pręgą plamiąc.

Ale co tam; gdy ojciec pod lipą śpi
Łapie w siatkę miodne pszczoły,
Chowa je do słoika i taką brzęczącą
Kulę do uszu mu przytyka.

Wstążki zaplata tatusiowi na brodzie,
Gdy ten zadumany wadzi się z Bogiem.
Albo robi mu „gili gili” na piętach, jeśli
Zbyt długo biedzi z Horacym.

Mrówki cukrem częstuje, tak aby
Zechciały wejść do skórzanych ksiąg
Powygryzać rządkie liter.

Wtedy w takową
Dziurawą mądrość paluszki wtyka ruchliwe
I pyta: *A co to?*

Ostatnio skróciła sukienkę; aby wydać się wyższą!
Zaplotła włosy jak u dorosłej damy i wachlarzem
Z wizerunkiem Florencji odgania paskudne
Muchy.

Sprawia wrażenie obecności to,
Co już niegdyś było, lecz nic nie zastąpi
Plasku bosych stóp, wybiegających
Na próg.



Wie o tym doskonale – pojawiający się
W otwartych drzwiach –
Niemy Bóg.

Obcy

Coś w Albercie Camus rozlało się atramentem
na mokrych, piaszczystych brzegach Algierii;
doświadczenie poznania pustki, jeśli jest obiektywna,
jeśli jest rzeczywista. Wbrew szumiącym falom materialnie
rozgniata piasek pod stopami.

On bez racji i wszechświat bez gwiazd migoczących
bez końca. Obrzydliwe piękno harmonii spadających
łun.

Patrzy na rozświetlony bungalow: pląsy, chichy, wyuzdane gesty,
a za plecami czuje czerń Arabów, ich mokre plamy pod
pachami koszul.

Tylko on tutaj jest brakiem;
odwraca się na pięcie i idzie do swojej surowej
izby pisać dalszy ciąg
absolutnej zgrozy.



Kaligula

Największym miłośnikiem sztuki poetyckiej
Był Kaligula. Choć głuchy jak pień, z czułością
Wpatrywał się w drgającą grdykę śpiewaka.
To, czego nie chwyciła jego uszna membrana
Uważał za afront.

Z boskości nie należy się naigrawać.

Nuta fałszywa,
Zbyt długa lub zbyt krótka mogła kontynuować frazę jego
Zachwytu, lecz nie ta doskonała, kiedy w błękitnych oknach
Na chwilę pojawiały się łby strażników, pasterzy, kurtyzan.

Brak umiaru temu młokosowi.
Rozplątał mu gardło, wyrwał strunę głosową;
Zwyczajnie nic, miękka żyłka oplata
Zakrwawione palce.

Potem śmignął nią w powietrze – ptaki rzuciły się
Na darmowy żer.



IV Nagroda

Anna Piliszewska

łątka

łątki blade skrzydełko przełyka staw jasny –
ważki, gzy i komary! odbite w szkle wody;
jak was myślą okolić, jak wcielić cień własny
w sny, którymi się pasą lasy i ogrody?

mam letniczek pisany i ledwie trzy lata,
ocięć gada z Kaliope – nocą wiersze kreśli,
mac i siostry serdeczne w innym kącie świata,
ja... w potrzasku istnienia – na krawędzi pieśni.

czasem stąпам; spozieram – coś w duszy zawoła,
czasem nucę i liczę oklaski gawiedzi.
mówią – jesteś i kwitniesz jak kwiaty czy zioła,
Bóg lecący w rydwanie podniebnym cię śledzi...

ćma się spała w lichtarzu – pacierz czuły klecę,
potem patrzę się w płomień i rozplątam kosę.
w sen zapadam – śni mi się, żem łatką i lecę
nad łąkami, nad stawem – w musowaniu wiosen.

jeszcze nie wiem, że zgasnę jak świetlik nad sadem,
nie znam zgrzytu zegarów i mrozu przeznaczeń.
wołam wyżły – w mig biegną, strosząc wąsy blade,
a gdy liżą mi stopy – śmieję się i płaczę...



szklany ogród

*z rombów trójkątów ostrostupów
odbudowano mądry ogród
diamentem spina sieć płaszczyzna
nie będzie wołał już owadów*

Zbigniew Herbert, *Zimowy ogród*

ogród wisi w powietrzu, zahaczony
o smugę – o mruganie ogona
przetraconej komety. pęknięty krzew glicynii
zatrzymany jest w lodzie i dzwonią sine kiście
w zimowych pergolach snu – szklany,
ostrożny ton. ptasi szpon. biały ogród zarasta
śniedzią zimnego szronu.

skrzypi mróz w dnach kielichów
i przyfruwają cienie błonkoskrzydłych
koboldów – kłują
skostniały nektar, zanim sykną pochodnie

i przyjdą inżynierowie – z rombów, z czarnych
kwadratów skleją duszę ogrodu; mądrą
strukturę słoju, korę barwy krzemienia.
zakopią martwe ptaki, każą stąpać po wodzie...



asfodele

wejdź w purpurowe morze
nazrywamy płomieni
snu co trzeszcząc potrząsa
makówkami zdumień

maki – mówisz
a ja ci że to asfodele – zaufaj
przecież oczy masz
rdzawozielone

wejdź w purpurowe morze
nazrywamy płomieni
potem w paszczy Hadesu
nakarmimy kwiatami
wygłodniałe dusze

zmarłych



IV nagroda

Agnieszka Szpala

ule

dużo pszczół latało wtedy
wokół dworu
przy kwiatach i brzęczeniu
powstały najlepsze dzieła
aktualne do terażniejszości
stały drewniane ule
niby nieme posągi na wieki
i było wszystko tak jak powinno
dziś zostały wiersze
i lipy i zapach
tylko pszczół coraz mniej

drzewa

drzewa do dziś są obecne
nieuchronne pamiątki zdarzeń sprzed wieków
i tych sprzed chwili
chmury bezszelestnie zaczepiają swoje istnienie
o konary drzew
szepcząc o lepszym jutrze
tylko lipa nic nie mówi
pokornie znosząc ciężar życia



mowa

mówią słowa
szepcem
wskazując istnienie Najwyższego
szumią liście
o tym co najważniejsze
i co nie bardzo chociaż zapadło w pamięć
mówi droga
wygłaskana tysiącem kroków małych stóp
podków i drewnianych tysiącem kół
jak kiedyś
choć łatwo nie było
mówią mury
że trzeba szanować to co przeminęło
mówi człowiek
lecz nikt go już nie słucha



IV nagroda

Grzegorz Chwieduk

miała jakiś specjalny dodatkowy zmysł zawsze wiedziała co się dzieje w domu czuła na przykład że już nie śpimy albo że komuś coś dolega jej serce przypominało szeroki solidny stół przy którym nie brakowało miejsca dla nikogo była pełna wiedzy i mądrości odpowiedzi udzielały często nie słowa a dobre jasne oczy babci i ciepłe ręce przychylnie parujące urodziła się chyba po to by przytulać nas z całych sił

był mocnym człowiekiem który potrafił cicho cierpieć i szalenie kochać gdy przyjeżdżam do mamy ciągle mi się wydaje że ojciec nie umarł że śpi sobie smacznie w drugim pokoju on nigdy z mojego życia nie odszedł prowadzę z nim niekończące się rozmowy opowiadając o wszystkim i radząc się w kłopotach wciąż jeszcze widzę zgarbioną postać ojca stojącego na peronie w wysłużonej podszytej wiatrem jesionce siłą powstrzymywał kaszel wysyłając uspokajający uśmiech zapewniał że za tydzień odwiedzi mnie ze swojską galareta

na twojej szyi i w zagłębieniach obojczyków leżą złote ziarenka piasku naniesionego przez wiatr drżącymi palcami je wyjmuję strząsam z rozpalonej skóry nie protestujesz silniej tylko zaciskasz powieki jakbyś nie przyjmowała odpowiedzialności za moje czyny całuję kosmyk włosów za uchem i policzek powleczony nieuchwytną warstewką wilgoci opieram dłoń na białym skrawku wzniesionej piersi nie mówimy sobie ani słowa uśmiejemy się połączeni intymnością za nami kreśli się upalny nadmorski krajobraz dzikiej plaży stoisz przede mną ciągle w tym samym miejscu obrysowana żarzącym się konturem słonecznego światła



I nagroda

Edyta Wysocka

Dialog w próżni

*Nigdy, nigdy prawdziwa miłość nie umiera,
Lecz i w ogień włożona, do kości przywiera*

Jan Kochanowski

teraz nic...
samotny próg gra w ciszę,
wchodzę w nowe dni z dziecięcym drzeniem.
byłam tam wczoraj, przedwczoraj...
zaniolałam szept różańca
i begonie czerwone.
teraz wyrastają wprost z twoich oczu.
przesunę fotel, wciąż pusty.
tyle tu wspólnego, a dialog w próżni.
nasz syn pachnie twoją wodą,
a szalik w kratkę w sam raz do jego kurtki.
dorasta, chciałby rad, taki do ciebie podobny.
w naszym kościółku młodzi już ślubowali.
wzruszyłbyś się.
wracają chwile i smak kawy.
jak ją parzyłeś? Nie pamiętam.
jest wiosna, szafirki wzeszły
i róża pod ścianą wypuściła pąki.
chyba *new dawn* się nazywa, czy jakoś tak?
zawsze mnie poprawiałeś.
tyle śpiewu, modlitw wspólnych,
tyle słów i milczeń,
tylko przyjdź, bez chłodu na rękach.



Psalm

*Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłani, i w morzu, na ziemi, na niebie.*

Jan Kochanowski

tyle życia a świat tylko Tobą
w ludzkiej zmienności w liniach czasu
w zieleni w piachu w pyle przestrzeni
wystarczy pamięcią zejść w głąb
w katakumby tych drgań wszechbycia
co otchłanią dziejów a drobinkami
Panie
stać się Bachusem siedmiobarwnych woni
nabierać w usta spijać szkarłat
bo gaje oliwne w każdym miejscu
a tyle w nich gwoździ wbijanych
w stygmaty cierpień i w nadzieje
o Panie
smugi rozplamionych włosów
grzechy wszystkich modlitw
Demeter ziemi w przemijalności
choć każda cząstka jak jaspis w popiele
świadek obecności że tu kiedyś ktoś
i Ty zawsze Panie
przeloty ptaków wieczne
prawidła historii
i drzewa
one sączą to co poza czasem
niczym ziarna pochłaniają
i przekazują w przestrzeń
jak powszednia hiberna chleba
jak Hermes kamieni
i powieka Twoja nawet gdy opuszczona
Panie
a wszystko jako bracia mniejsi
minoryci skromni
początku i końca
bo raz w tej samej rzece
zmienni a tak podobni sobie
czy i Tobie Panie



10 kwietnia 2010

*... obyśmy teraz potrafili być dla siebie
mądrzy i dobrzy*

Szpalery stojących,
Jest wyjątkowo cicho.
Jakie teraz ma znaczenie kurz pod fotelem,
czy nieugotowany obiad?
Zamilkł rechot,
ustały wojny i cała ich drugorzędność.
Dzień, w którym wszyscy czujemy to samo.
W którym małe są słowa
i nie liczą się poglądy.
Liczą się tylko oni, lepsi – gorsi...
**Śmierć jest ponad podziały,
zrównuje koalicję w niebie.**
Jeżeli Bóg tak chciał,
czy z tego wyniknie dobro?
Czy cierpienie jest tylko cierpieniem,
ciągłością losu i apostołstwem?
Ofiarą, której oby nie zmarnować?
Dzwon Zygmunta,
Lacrimosa Mozarta,
Symbolika...
Co dalej?
Czy się zatrzymać,
bo to moment na przemyślenia?
Teraz?
Kiedy łzy oczyszczają spojrzenie
na innych?

10 kwietnia 2015

...post factum
Boże,
czy my – Polacy,
zostaliśmy stworzeni do *zachowań*
tylko w chwilach dramatycznych?



II nagroda

Bogdan Nowicki

Inwokacja

Fraszki to wszystko, cokolwiek myślemy...

Jan Kochanowski

Widzę cię, Janie, z gęstą, rozwichrzoną brodą,
Wśród długich tyczek chmielu, fasoli
I grochu. Z koszykiem szarych renet z cętkami
Miodnego lata.

Nad żywopłotem szczygieł plecie
Ptasi poemat, gdy ty
Coś skrobiesz piórem
Po czerpanym papierze.

A cały wszechświat
Nie jest zagadką, tylko figlarną
Fraszka.

Zdartą miotełką odkurzasz
Czarneleski próg z miriadów
Spadających gwiazd;

Z ufnością zasypiasz
Na koronkowych poduszkach,
Pachnących zżętym
Łanem.

Żadne znaki na niebie i ziemi
Nie wskazują na to, że śmiertelnie
Obrzęknie ci ręka, kiedy rozpoczniesz pisać

Dziewiętnasty tren.



Orszula

Śpisz, Janie, czy cię żalność zwykła piecze?

Jan Kochanowski, Tren XIX albo sen

Próbuje sobie przypomnieć,
Próbuje tam przeniknąć.

Szeptają soki w gałęziach,
Trzeszczą drewniane krokwie,
Żeliwne klamry skrzynek zatrzaśnięte
Na spust.

Woła ją po imieniu, biegnącą przez
Pola snu,
Wykute ze srebrnej blachy
Księżyca -

Jego blade światło jest
Haftem na poduszce;

Wystarczy głowę położyć
W puchu, kiedy się
Umiera.



Zespolenie

Raz na sto lat
Ceremonii oglądania kwitnącej
Lipy w noc czerwcową towarzyszy
Strażacka muzyka

Podobne do glinianych popękanych figurek
Nastroszone gołębie
Gubią kłębuszki pstrych piórek
Gdy trzepocą skrzydłami
W czas największych upałów

W ogrodzie przybywa kolejny
Słów drzewny

Jak opatrunek

Na niezagojonej
Ranie
Ojca



III nagroda

Jan Podlipniak

Trzy

pierwsze piwo tej wiosny wybucha zielenią.
pierwsze, lecz nie ostatnie, to stworzenie świata
na nowo i bez granic określonych w pismach
z ambicjami świętości, więc pójdźmy się smażyć
– w końcu jest zamiast piekła podniesione słońce
nad kocem w szkocką kratę, który opływają
ławice sytych mleczy, stada koniczyny
w wędrownce wprost donikąd po pierwszym wybuchu
i dzień siódmy, stworzony, żeby mógł odpocząć,
kto jeszcze nie odpoczął lub nie znalazł miejsca
przed nadejściem betonu, zanim się wykręci
spod naszych stóp żarówka nazywana ziemią,
zgasła i okopcona przez nerwowe spięcia,
a ja cię kocham wiosną, jak w przebrzmiałym wierszu
z całkiem innego świata, przedwojennych kronik
wypadków z ostrym sercem, które łatwo przetnie
nawet szkło na butelce, gdy wybucha piwo
i coś się w nas rozleje (do trzech razy sztuka).



Niepomnę, niepomnę

*'Oh well, I suppose it's not the place's fault,' I said.
'Nothing, like something, happens anywhere.'*

Philip Larkin, *I Remember, I Remember*

mógł to być kwiecień, tak jak każde miejsce, które jest nigdzie,
lecz dobrze zapomniałem stukot twoich obcasów o bruk
w miasteczku pełnym zdradzonych o świcie,
nierytmiczny, pospieszny, bo coś nas goniło w stronę
jeszcze chłodnej pościeli w pokoju bez okien,
gdzie milczeliśmy zgodnie z zaleceniami prawników
z sensacyjnych seriali – przecież ciało może
zostać przez słowo podwójnie obnażone, a tego nie trzeba
by się nie odkrywać, a tylko po kawałku, kęs za kęsem
przeżuć, przeżyć, smakować.

mógł to być kwiecień lub inne *gdziekolwiek*,
miejsce zdarzeń i zderzeń najmniej spodziewanych,
które wciąż zapomniałem, ignorując czasy i więzy gramatyki,
a stukot nas zdradzał, nasze szybkie pragnienia
– nawet cienka nagość okrywała nas szczelnie
przed wzrokiem ciekawskich obywateli *niczego*,
maskując najcenniejszą, nietrwałą intymność.

teraz, gdy się nie dzieje nigdzie, dokładnie pamiętam,
by cię nadpisać dowolnie fałszywym wspomnieniem.



Haj

Wyjść z sieci i przestać się łowić

- postulat ryby uwięzionej pomiędzy miliardami kęsów
nieustannych informacji. Od tego zepsuje się każda głowa,
nawet z mandylionu.

Wyobraźmy sobie ukrzyżowanie w prime time,
a wcześniej relację z zamieszek w Betlejem,
kiedy tłum skanduje *uwolnić Barabasa*, potem ssawki kamer
wciągną w siebie kolejne kreski ludzkiego dramatu.

Ot, ktoś przewróci się pod zbyt ciężką belką,
kogoś potną w ścisku gorliwi nożownicy,
a siły porządkowe spuszczą słuszny łomot
osłaniając tarczami prawdziwy porządek świata.

Tak rodzi się posoka, bo jej ludzkie imię
zostawiamy dla rzeczy słusznych.

Jeszcze nikt ich nie poznał, więc na wszelki wypadek
lajkujemy nawet śmierć.



Wyróżnienie

Adam Tristan Feliks

Dziękczynienie poecie

Nie wstydem lecz cnotą wslawiony poeto,
Tyś córkę ukochał i tyś cierpiał za to,
Tyś męki hiobowe znosił, jak wypada
Cnemu człowiekowi. Spokój i ogłada
Tobie były dane. Tyś przemógł ohydę.
A po takiej stracie lament nie jest wstydem.
Tyś wiele wycierpiał, tyś się Bogu żalił,
Ale w spadku wiersze cudneś nam zostawił.
Tobie zawdzięczamy rozwój polskiej mowy,
Tyś poezją służył swemu narodowi.
Tyś pod lipą splatał fraszki jak gałązki,
A gdyś córkę stracił, koniec twój był bliski.
Po tobie zostanie dworek czarnoleski,
Sama będzie rosła lipa bez opieki.
Nam tylko wypada tobie nosić dzięki,
Boś był i poetą, i człowiekiem wielkim.

Poeta pozytywny

Dostrzegę tęczę w kropli wody,
Zobaczę ją w słonej łzie
I nic nie wyrządzi jej szkody.

Usłyszę melodię w lamencie,
Wychwycę ją w słonej łzie,
Jutro i dziś, w każdym momencie.



Postrzegę szczęście w twojej złości,
Wyczuję je w słonej łzie,
Bo życie jest pełne radości.

Ty płacz i zgrzytaj zębami,
A ja pod lipą za płotem
Usiądę i rymy splecę,
By cię zabawiać słowami.

Na Poezję

I zaszczyty, i bogactwa -
Nieistotne są to rzeczy.
Na nic dwory i opactwa -
Chyba nikt tu nie zaprzeczy.
Gdy przeminą, nikt nie zwróci
Na nie swojej już uwagi.
Oświeceni czy wyklęci -
Wszystkich czeka koniec srogi.
Tylko wiersze się ostaną,
W które przelał myśl poeta.
Każde zbladłe z księgi słowo
Będzie jako struna spięta
Złotej harfy albo liry
Strofą, wersem, rymem, zgłoską
Dźwięcznie szeptać pieśń miłosną
I radośnie świat ponury
Zabrzmi w słodkim jej akordzie.
To Poezja, strojna pani.
Rządzi swymi się prawami.
Drugiej takiej nie ma nigdzie.



Wyróżnienie

Hanna „AVIS” - Zembrzycka

mieni się łąka paletą odcieni
wiosną w źdźbłach soczyście zielonych
latem brzmi nuci śpiewa zieleń i barwą kwiatów
brzęczy mozołem miodnych robotnic
kuszonych miodunką
różem firletek
złotem rumianków
maków czerwienią
pachnie słońcem wygrzaną macierzanką
błyszczą rozchodnikiem pełzającym po zboczu
w upalne południe chłodzi stopy
drży trzepotem skrzydeł wielobarwnych motyli
wiatr zapach ziół roznosi
ostrzą kosy
w palącym słońcu opalona skóra kosiarzy z kroplami potu
pachnie siano do jesieni pełne stodół
i szron posrebrzył łany
śniegu dywan ukrył je do wiosny

rodzinny dom wyrastał z ziemi podmurówką
tu będzie twój pokój z balkonem – mówił tata
oczami wyobraźni wiatr rozdymał firankę w drzwiach balkonu

został małej pokój z miejscem na żywą choinkę
maszyna singer do szycia kaflowy piec ogromny tapczan i łóżeczko
pod fajerkami w kuchni buzował wesoły ogień

zamilkło serce taty...
stańło jak betoniarka nad stropem domu



siennik dla dziadka babcia wypychała słomą
w upalne lato przy dźwiękach kosy ostrzonej oselką
schła skoszona trawa
roztrząsana zębami drewnianych grabi
pot kosiarzy perlił czoła i skórę muskularnych ramion
w koszyku zsiadłe mleko z pajdą pachnącego chleba było siłą ich pracy
kompot z rabarbaru poił ciało
wieczorny koncert świerszczy z żab rechotem
odprowadzał purpurowo-pomarańczowe słońce
nad domem dzieciństwa





I nagroda

Janusz Pyziński

Testament

czas rozrasta się w kościach, jak perz, wchodzi pod fundament.
świerk, zasadzony w dniu moich narodzin, urósł, wydoroślał.
być może zapomniał, jak targalem mu włosy. to już nie bawi.
smutek osiadł, świeżym strupem żywicy na powale domu.
uczy się na nowo oddychać, pustką i dokonaniem, nowych nazw,
przymiotników i barw. rozkrawać pachnący świętami chleb.
zbierać myśli wśród spróchniałych belek. siodłać do podróży cienie.
w najczulsze miejsca, które zapadły się w ziemię.

moszczą się w oczach tamte obrazy, pod powiekami jaskółczych gniazd.
milknące echo modlitw ojców, z cierniowych ścieżek szlaku do krzyża
i imion z których budowali dom. lęgną się sny, nieznośnie oparte na faktach
smaku pamięci z czarno-białych zdjęć. nie pierwszy raz i nie ostatni,
pisze się opowieść, tamtych dni świata, który nagle zamilkł,
przed próchniejącym sakramentem świątka, w mszalnym mateczniku pól.

tam, gdzie na podobieństwo tęsknoty, z piasków wyrzeźbiłem krzyż rozstajów
i głębię arki przymierza z orką – siódmy raj zdobyty lemieszem,
tropionym przez słońce jak zajac.
zapisalem pamiętniki, czasem pierwszych miłości i rozstań.
widziałem śmierć biedronki w wieku dwóch kropek,
ucząc się pić deszcz i jeść sól z nieba lipcowego ganku,
kiedy skowronek malował wieś, drgającym potokiem pogodzie na przekór.

długo mnie tu nie było. jaskółczy niepokój skrada się po drutach,
burząc krew w żyłach i ciepłiwość świątków, wystukujących przy drodze
nerwowe staccato. gdzie cień matki, w potężnych konarach ramion cienia ojca,



dryfował aż po krokwie, w woni kapuśniaku i suszonej mięty, gubiąc się
[w nostalgii
za przylotem ptaków. już krwawi widnokrąg długimi cieniami, domyka kartę
żywej księgi ziemi. trzeba być daleko, tak jak nigdy dotąd, żeby to zrozumieć
i nie tęsknić ciężko, za śliwkowym sadem o wielkości pestki. do którego
nie potrafię już wrócić, by wygładzać cienie aż do szczękościsku
i domykać powiekami rozmowy ze Stwórcą.

jakby nie było przed i potem, jakby się niebo zapadło w ziemię.
zgasilo gwiazdy w czyichś dłoniach, przemycających przez ostatnią
miedzę Boga i nadzieję. wszystko we mnie kłęka, gdy budzą się z krzykiem
nasze codzienne sprawy, do prób pierwszej spowiedzi z niezapowiedzianych
[wizyt,
cieni które znikły, gdzieś za węglem domu, wbijając wiosła w ciemną głębię rzeki,
akordem odwiecznej melodii narodzin i śmierci.
ubywa makatkowych twarzy i pejzaży, a może wcale ich nie było.
tylko małwy czekają na próżno, wyrosłe ponad dom.
niczym w wieczystej księdze ziemi, testament zapisany lemieszem,
by kiedy umrze zapach orki, pot się nie tułał nadaremnie

Akordy

mój malutki świat – chruśniak za stodołą.
malinowe myśli, w kapeluszu stracha
goniące czereśniowe szpaki.

to wszystko jest we mnie, tętni i krwią płynie,
jakbym był tam jeszcze, mieląc boso szkło trawy,
na cień aksamitny, osiedli pszczelich domków,
we wszystkich barwach ciszy, budzącej z drzemki świątka,
do spraw codziennych króla, kurzu polnej drogi,

być może istnieje gdzieś niebo, lecz zamiast tkwiącego w nim klucza,
tylko echo kiedyś zasłyszanych modlitw, powidokiem użyźnia
tamte strony świata. i pamięć uparcie przewraca stronicę,
rozpływając się w sednie istnienia, gdy coś pęka we mnie, osiada na dnie,
jak piana na świeżutkim mleku, w codziennej pantomimie ości kłosa w oku.
czasem coś w środku zwinie się w kłębek, odkrytym z ciemności rozpalonym
[świttem,



gdzie matka krzyżem bochen chleba żegna, i dzień się toczy drabiniastym
[wozem.

tu wszystko jest święte. blizna po odcisku, każdy kłos. każda trawa.
cień pod wierzbą, żaba nad stawem, stóg siana. palec boży, zanurzony w pocie,
tańczący pomiędzy wspomnieniem i losem. kolejny spadający liść
kartki z kalendarza. siwy włos.

po drodze którą czas przykrył zapomnienia mrokiem, niosę na ramionach
[marzeń
młody sad, tłumacząc się z mojej w nim nieobecności. dopiero teraz, patrząc
[wstecz,
odkrywam jego piękno, w jesiennych kwiatach mych dziecięcych wiosen.
smakują słońcem, pachną zżętym lanem, zasłuchane w cień rosy, co brylantem,
siwą skroń ozdabia. brak słów kaleczy najpiękniej wzajemne obcowanie,
stanowiąc mocny fundament pod nasz wspólny korzeń.

długo nie wracam. może to i dobrze, bo stąd jakby bliżej, do pól malowanych
[gwaszem,
zwierciadeł strumyków, gdzie słońce w pajęczej halce, rzeźbi delikatne wzory
niby na opłatku. dotykam i nie wiem, który z nich mam wybrać.
poza krajobraz wypływając myślą, zamykam oczy aby mi się przyśnił.

i niech mi jabłoń nie pamięta grzechu, którym chciałem się cieszyć jak dziecko,
przechowując w pamięci pierwsze płatki śniegu. dziś nie potrafię
opowiedzieć czterech ścian domu z dzieciństwa. drugiego takiego nie spotkam.

kto dziś potrafi wyrzeźbić kłos, w jasnym marmurze dzieży magnificat chleba.
zziajane konie olszyn, z rumieńcem czystości pierwszych pocałunków,
pod zmurszałym zieleńcem słów dziś już nikomu niepotrzebnych.
bogatsi w pośpiech i o siwy włos, ubrani w różaniec z lipowego drewna.
odchodzimy spod starej kapliczki, w której od dawna nie mieszkają święci.

dopóki nie Ariadny prowadzi mnie w labirynt pętów, polnych ścieżek, domostw
z płatków śniegu jeszcze strugam kołędę o narodzeniu.
jak roztańczony obłok poddany wiatrowi,
płynę w głąb, gdzie powinien zagłębiać się korzeń,
by nie uszło drzewo, co wciąż pieści próg mój bosymi stopami.



Modlitwa

Ojcie nasz ten sam
który na roli nieba siejesz chabry
i złotą kulę mleczną toczysz
zmieniając konsystencję światła
w lektykę cienia gdy staje się ogniem

wybudzasz na nowo dźwięk pustego dzwonu
wplatając w ciemne włosy nocy pięciolinie cykad
i w obłoki spokój najwierniejszy polom
gdzie lato w zwiewnej sukni maków
spaceruje po miedzy z partyturą pieszczot

Ojcie nasz podobny do mojego
wiążesz koniec z końcem siejąc i zbierając
dajesz miejsce i czas na zakolu rzęsy
- mgnienie jakże trudne w śpiewającej krwi
pożądane gdy ból wnika głębiej niżby mógł

ze skarpy lęku wracasz z niepamięcią
czarnych kotów i stłuczonych lusterek
milcząco
naprawiasz błąd za błędem jak zepsutą zabawkę
która niepotrzebnie wypadła mi z rąk

pod strzechą gdzie jaskółcze gniazda
szczebiotem wypełniały przestrzeń
płat wybudzając i malwy
ze snów o glinianym dzbanie

czas się poruszał strzelaniem z bata
w leniwym rytmie końskich kopyt
pszeniczną wiarą sycąc dzień
cierpliwie przesiewaną w palcach

ile mi jeszcze jej zostało ile brakło
bym cień wędrujący mógł dogonić
jak się dogania nieodwracalne
kiedy już kra zamieni się w wodę



tak trudno z plątaniny słów wysupłać sens
kolejnych paranoi z połaci pooranych dłoni
zamodlonych na sen tamtych miejsc w kościołach
gdy Ty na przeciwległym brzegu sadzisz sad
a ptaki niebieskie roznoszą ziarna pestek

pozwól mi Ojcie uśmiechnąć się
na myśl że przecież kiedyś wzejdą
gdy pękną chmury wyleje się deszcz
a świt zakwitnie znów tęczą
i potoczy się syty pękaty wóz

jak łza po zmarszczkach twarzy



II nagroda

Andrzej Ziobrowski

słów światło

co tłucze skrada po nocy
słyszę jak delikatnie szarością dzwoni
noc zacicha zorza dale upojne turla
dzień otwiera wystraszone oczy
stąd odeszli ziemi prorocy

kto księgi pisał będzie dla potomnych
nie Homer on był dla nas słów światłem
falą która w czasie się rozlała po przestrzeni
nie przyniosła zbawiciela którego zabrała
tylko duszę moją słowami wzrusza
na wyżyny zachwytu niesie

gdzie morza falami orzą przestrzeń
po blasku pójdą uparci mężowie w błękanie
ostrzyć zmierzchy na ruinach porzuconej Troi
rozpromieniać greckie wyspy po świecie
tam schroniły się achajskie kobiety
boginie czasów mitycznych

nie będzie lira burzyć naszego spokoju
lecz pieśnią ziemi nieść przesłanie wieku
tam spotkamy Rilkego Eliota wielu poetów
których księgi są jak nurt głębokiej tajemnej rzeki
gdy płynie w serca otwarte na słów piękno
kochanki której co dzień pragniemy

zasypie czas pogrzebią kamienie wieku
nie wyżebrzę dobroci nie napiszę manifestu
tylko kawał przeoranego zmierzchu będzie
moim posłaniem błogim



w Czarnolesie

w parku czarnoleskim dróżka czarowała
nieopodal z jeziora toń smutno szeptała
wśród ukwieconych łąk cudownymi barwami
Urszula śliczne oczęta skrywała gdy
po lipach pszczoł kapela grała

na klombu alejach róże w purpurze szaleją
nasturcje się chwieją w promieniach złotych
wiatry pomrukują szaleńczo wieją gdzie
domy podparto radości płotem

w alkierzu cienie gospodarzy się snują
kiedyś gościnny stół przepychem czarował
wielu przyjezdnych gospodarz zapraszał
z Radomia Warszawa przysyłała moc gości

tak upływał mi dzień noc ciemna
wszystko jest dziś jakby wczoraj
radości niemało rodziła ziemia czarnoleska
po staropolsku dzisiaj na ogrodach wita
przybyłych gości

przeszło lat wiele wiosen bez liku
co płakało już było łkało jak ja cicho
gdym się zasmucił z duszą obolałą przybyłem
z modlitwą dziękczynną którą
Czarnolas nie słyszy



oczekiwanie

w Bizancjum świece płonęły równo
mimo niespokojnych czasów
trzymane w rękach średniowiecznych mnichów
inaczej niebo świeci dzisiaj
tam po równinach Antiochii wiatrem płoszonej
tętent koni niósł wieści smutne krwawe
radosne niewielu słyszało

wieki jak księgi były otwarte
każdy je mógł zapisać
pachołek rycerz lub skryba
lutnie w alkowach milczały
ze strun napiętych ciepło spłynęło
na ziemię dźwiękiem rdzawym

na ołtarzu wiary
kości złożyć mógł każdy
pielgrzym ubrany w szaty nędzne
trędowaty ten który magiem świata został
nawet berło królewskie kapiące złotem
osobno leży w tym samym mroku
w chwale skruszonej rozpadają się szaty
po królewsku

stęsknione kobiety czekały
w lata warkoczach prały odzienie
w zimne mroźne noce męskim ciepłem
się okrywały jak skórą
chwałę jego niosły po ziemi
jak swoje sandały

wieści coraz smutniejsze dochodziły
lat przybywało czas się zamykał
nad nimi boleśnie nieodwracalnie
one nadal czekały



II nagroda

Edyta Wysocka

Może to właśnie to

(...) Daj raczej miłość, a chociaż mniej złota...

Jan Kochanowski

Usiądź przy mnie,
choć moja skóra nie pachnie *Coco Noirem*.
Czy wiesz, że przeżyliśmy ten maj za osiemset pięćdziesiąt złotych,
a słyszałam, że gwiazdy wydają tyle na przyzwoite perfumy?
I jeszcze ci powiem, że tej nocy śniłam, że śnię o plażach na La Palma.
Z tej fotografii, gdzie nasza Ewka w kapeluszu, jeszcze z Jackiem.
Pamiętasz? Śmiałeś się wtedy, że ma na głowie rozdeptaną meduzę.
A ja, jak teraz stoję, w pochłapanym fartuszk, wyznam cicho,
że chciałabym... Albo już nic, to zbyt skomplikowane.
Więc tylko przy mnie usiądź.
Stwórzmy mimo wszystko uśmiechnięty duet. Bez tęsknot
z dalekich pocztówek. Wszak tam (czyż nie?) kosztownie i nudno,
jak w angielskich ogrodach. A dla nas, tuż za oknem czerwiec krzyczy
wróblami. I ogród po deszczu pachnie melisą samosiejką...
Więc przy mnie usiądź.
Tuż obok, na kraciastym kocyku, tym co jeszcze od ślubu.
I pomilczymy sobie, po naszymu.



My

(...) czas doktor każdemu

Jan Kochanowski

Jak ptaki płochliwe z lękiem o skończoność,
z eksplozją strachu uwięzłą w przelyku.
W czasach szybszych od dźwięku. W czasach lotów astralnych.
Bezdrożami świata – wczoraj, dzisiaj, jutro...
Samookaleczenia, blizny ran, igły umysłu, kolce pamięci,
w listowiu nerwów, w snach wśród dzikich zwierząt.
Międzykomórkowe metamorfozy, łapanie sensu jak wiatru,
i miłość – psychodeliczna ułuda.
Jak chełbie na piasku po ciemność jednej barwy,
w jedną wspólną przeszłość.
Jeszcze podzwonne w czyichś oczach, w czyichś słowach.
I zrodzą się inne ptaki, takie podobne.



Głód

*Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego.*

Jan Kochanowski

Szósta. Chyba świta. Śnią się pustynie bez wody.
Łazienka. Radio dwójka. Penderecki?
Wysokie „c” wchodzi w mózg pogłosem „Lśnienia”.
Czy to od samego Stanleya Kubricka?
Chyba głuchnę, bo podkręcam się na maksymalny ton.
Może ja Beethoven i przede mną dzieła doskonałe?
Lustro. Czy to twarz poety w zapaści wiekuistej?
Proszki! Gdzie? Tyle tu kartek, zapisków, prób...
Żeby zasnąć, szybko, bo stukanie i strach.
Z muszli robaki, na stole czaszki, w kącie kot skulony –
niezwyczajnie mruczy, nie chce mleka, a zawsze lubił.
Żeby tylko nie pojawił się Tamten, chociaż tyle po nim,
co w lichej urnie. A przecież miał wiedzę i rozum
profesora filozofii. I co z tego, że miał?
Cały porządek światów odczytał dopiero po drugiej stronie.
Albo i nie?



III nagroda

Anna Piliszewska

kropla inkaustu. tren

...jeden jest Pan smutku i nagrody.

Jan Kochanowski, *Tren XIX albo Sen*

noc przemienia się w ranek, ten zaś w ciepłe południe. lipy
szumne od pszczoł. w małej kropli inkaustu czernidła, pył
i całun. rozplynęła się w progu postać w jasnej sukience.
ręko, dlaczego piszesz?

któs przezroczystą sadzą posypuje przedmioty, głowy
garścią popiołu – nie cofniesz gorzkiego czasu – ani jednej
z godzin. nie usłyszysz wśród skrzypień znajomego głosu. z ksiąg
pierwszych i z ksiąg wtórych usypuje się kurzem cisza
i zamyślenie.

to już ostatni tren. i oto sen łaskawy skleja ciężkie powieki. nic
nie będzie jak wcześniej, chociaż wicher unosi
zapachy, nasiona ziół i zięby na kalenicy
zakładają gniazdo z mchu i drobnych patyków.

dłoń wciąż zaciska pióro i szeleści pergamin, jednak ostatnie słowo
przyciśnięte bibułą
stało się
napisanym.

krąży w dusznym pokoju prąd ciepłego powietrza i porusza zasłony.
biały palec dotyka łąy czy kropli inkaustu? spada
ciężki kałamarz
– rozlewają się plamy. atrament wsiąka w drewno;

zasycha...



telegram do Sokratesa

wiem: nic nie wiem na temat
kwantów i kwarków, ani teorii strun.

nie umiem nawet prowadzić
rakiety, biznesu, tłumów...

nie znam ilości
wody w morzu, garści piasku na Gobi,
ani liczby galaktyk.

nie widzę sensu
wojen, głodu i okrucieństwa.

lubię
spokój i koty. jaśmin w starym ogrodzie.

wolę
Bacha od Dody, a od hałasu mediów
pocziwego Platona.

wącham
aromaty kawy, mielonej w młynku żarnowym.

podobno
nic nie jest takie, jakie nam się wydaje.

wiem,
że nic nie wiem...



woda. centony Homera

*Łudzą was zmysły – nieprawda, że statek jest z drewna, a talerz
z cyny: wszystko jest wodą i tylko wodą – raz taką, a raz inną.*

Tales

rzeka jako przyczynek
rozważań poietycznych wypada całkiem
przykładnie, choć za oknami wieczór
nie spada w wilgotną trawę twardym jabłkiem
granatu.

w głębi ość
aberracji – nie wyjmiesz jej, jak się wyjmuje duszę
ze starego żelazka. to, co trwa myje nurt – heraklitejski
strumień. wystarczy
nachylić głowę i dostrzec pod ruchomą
taflą krasnorosty, muł, skręcone korzenie.

Myśl dryfuje przez pianę
homeryckich centonów
jak widmowe kanoe z pneumy, szkła
i powietrza. przenikają się plamy
rdzy moczarek i situ. *poesis* i *poiesis*. może
dlatego woda jest tak bardzo
podobna

cento – szacie
zszytej
z kawałków tkanin, gdy fala splukuje skaży,
a zakola
ciemnieją...



Wyróżnienie

Iwona Świerkula

Czerwony tryptyk

coraz to nowe wiersze
wyjmuję z kapelusza
są szybkie jak zajęce
uciekają przez kartki
przeciekają przeze mnie
bo skóra przepuszcza jak bibuła

piję wodę
aby w sobie utonąć i zatopić krainę
czerwonych strumieni
tych zagajników bez pąków
choć rosną aż po palce
aż po kopułę czaszki
ktoś się kręci przebija ciemności
i jak igła przekłuwa
a księżyc przez ramię zagląda
ale nie widzi
beziściaste żyły po zimie
może rozrosną się w róże
płyną czerwone
pod górę i na dół
spieszą się
na ich murach tatuaże
ciała zabazgrane w brudnopis
a pod płaszczem skóry
nawet zimą ścieżki ciepłe
tyle rozgałęzień tyle karuzel
dokąd płynie czerwień
tylko gdy strzelają
następuje erupcja człowieczeństwa



więc piję wodę źródlaną
te białe strumienie które się zaczerwienia

którędy do głównego wyjścia
wy też nie wiecie kiedy
urodziny księżyca
i gdzie leży ocean człowieka

Za plecami Lota

obejrzałam się
tyle niedopitych kaw
niezmytych talerzy
rozlanych zup
i pobitych kubków

obejrzałam się
marzenia zakwitły i przekwitły
spadły na ziemię
świecą nocami
już nie moje księżyce

obejrzałam się
dni szybsze
tylko że w przeciwną stronę
ślady śnieg zasypał
a potem się roztopił
tu i teraz skamieniało w słup soli



Wiosenne porządki

wyjmujesz z szopy grabie
choć palce zgrabiały
wyjmujesz szpadel
dłonią sztywną
i taczką wywozisz zeschłe słowa

ramiona za wąskie
lecz gdy je unosisz
jak widły
kosą spojrzeń tniesz co zachwaszczone
sekatorem obcinasz za suche

zraszacz z łzami
za spulchniaczem nogi
walcem staje się dzień każdy
lance wycinki pikowniki
niech w szopie rdzewieją

a sadzarka się przyda
bo wiosna coraz bliżej
w ogrodzie rosną już wiersze



Wyróżnienie honorowe

Katarzyna Wiktoria Polak

Czarnolas

w smudze kurzu na progu
liście,
jak zmięte wiersze.
oko wiedzie aleja

w rudziejące pejzaże
- w okruchy wrześniowych kałuż,
w mgłę, co park oprószyła
jak nierealna sól.

jutro w rynnach rozdudni się
gradowa kapela
- w sieniach skulą się cienie.

wnet ćmy i niechciane wiersze
przyfruną jak
nietoperze, na miejsce wędrownych
ptaków, już szykujących skrzydła
do rychłego odlotu.

zapachem wilgotnej trawy
spłowiąły obrus
czasu
sennie się rozpościera. myśl prowadzi aleja

w rudziejące pejzaże. poeta kreśli
sonet, żeby piórem
zatrzymać
liści dymiący
krwotok - lipy w wrześniowych cieniach...



przystań

w mroku rzeka wydaje się stać,
a nie płynąć. zwieszono konary
zahaczają o niewidoczny nurt,
wciągane w przestrzeń
milczenia.

pająk przędzie pajęczynę tuż nad
moją ręką. tworzy się wokół spiralna
mgławica.

słyszę ciszę zgodną z rytmem swojego
pulsu.

znalazłam się tutaj zniecka,
wybiegłam z czegoś, co nazwałeś
opuszczonym domem.

czuję tylko bezwładność.
ty wybrałeś bezpieczeństwo, spokój,
a ja pytania.

czy zostały po nas ślady na kamieniu,
głodzonym nad rzeką?

rozpoznaję siebie już tylko po cekinach
na sukience

wpatruję się w znikający w ciemności
kamień.

czyżby to on podtrzymywał
równowagę całego
domu?...



przeprowadzka

*tutaj stał dom o schodach
zreumatyzowanych...*

Feliks Netz

wreszcie załadowali wóz do samego
nieba.

po drodze mogą zrywać kiście
wiszących limonek.

i pachnieć, wonieć,
dyszeć, unosić się w oparach
dziurawych ogrodów.

wiozą ze sobą siano i łóżko rodziców.
bez pościeli, bez poduszek, bez materacy.

sam metalowy szkielet – w jakim zostali
poczęci – stojący między skrzyniami i obrazem
morza.

jadą na wstecznym biegu przekoziółkować
własną obecność
ojców, żon i kochanek.

nie są polerowanym meblem, ani
małżowiną uszną nastawioną na
besserwisserski ton.

lamentem szklanej rybki w akwariu,
fałdem na czole czym jest rozumienie.

zbliżając się do Boga, zostawili
sobie pierzynę.

kamuflaż gniazda, poza którym
nic więcej nie da się
pomyśleć.



Wyróżnienie honorowe

Renata Pogorzelska-Wojtaszek

Ukojenie

Kłaniam się
Tobie
Sosno wysoka
I Wam lipy czarnoleskie
Miodem pachnące
Gdy mnie zawodzą
Zwierzęta i ludzie
Przez korę
Do serca drzew pukam
Podaję rękę
gałęziom szumiącym
I pień obejmuję
czule
W pochmurny ranek
I w dżdżysty wieczór
do Was
Przytulam się
w ukojeniu



Błogość

Twój dotyk miękki
jedwab błękitny
niebo rozgwieżdżone
oczami wszechświata
jasność błoga skryta
w słodkim zakątku podniety
Konie szalone dwa
dzikie konie
w odmęty świata
Kłusem pobiegły
Piękne dwa
Powab i fantazja

Czarneleskie lato

Słońce
gospodarz złoty
wędruje polami
 Pokorne chylą głowę
 czarnoziemiu
 kłosy dojrzałe
Zaludnią się o świcie
chlebne przestrzenie
czerwcowo-lipcowym żarem
 Nieopodal
 otworzą się bramy
 zaczarowanego ogrodu
To enklawa piękna i spokoju
jak za żelazną kurtyną
zgiełk tego świata

Wkroczy w przeszłość



I nagroda

Janusz Pyziński

Życiorys

pierwszy wszechświat, zaczynał się i kończył zaraz za progiem domu,
rzeniem świtu i świstem bata na wieczorny pośpiech.
bawiłem się ze słońcem w cieniu – dłuższy zawsze podchodził do lasu,
krótszy od rzeki, gdzie sarny w każde popołudnie poprawiały makijaż.
nauczyło mnie wszystkich dróg prowadzących donikąd.

chowało skwar w chłód stodoły, skąd z mysich nor wychodzili wodzowie
sennych plemion, kładli poduszkę słomy. śniłem najpiękniejsze strofy
o królewnach zamienionych w żaby. wychodziłem nad staw, w pucharach
dłoni unosiłem ich zieloną wysokość do ust, układałem w płomień.
przyśpieszone tętno pod złotym latawcem, nad dusznym brzegiem lipca.

drugi wszechświat – bezkresność kamienistych pastwisk, poplątane poryki
ze szczekaniem psów. oczodoły lisich jam, ślady piór, zagubione ścieżki kur.
dzień strzelał jak z procy do osiego gniazda. zapuchnięty rumienił się wieczór.
jeszcze rzeka przed snem, popielata jak popiół, dobry na krosty i garnki.
i strzasnąć ze śliwy chrabąszcze, zanim gwiazdy zapala się w domach.

w trzeci wymiar wszechświata wprowadziła mnie Kaśka. dziwny wiatr
spod przydrożnej kapliczki kazał mi nadać jej nowe imię. Madonna
brzmiało dumnie. nie wiem co widziałem w jej nogach. obijał się wzrok
o wzgórze wyrosłe tej wiosny, starałem się jak mogłem. przed lustrem
mnie wyrósł tylko garb. jak zaczyn z dzieży wykypiał ciekawością.

potoczyła się z górki lawiną. wtedy już oczy nie widziały; brały to co było.
na mchu wysmukła płaskorzeźba, rzeźbiona opuszkami palców. pęczniała cicho,
wodami płodowymi ziemi. urodził się kamień, dobry na pomnik i fundament,
z tymczasowym paszportem do ciała. agroturystyczne wycieczki skurczyły czas
do obojętności. wody stały się wodą, kamie kamieniem, imię jego znakiem.

zodiakalny lew zmienił grzywę w siwą. Madonna znów została babcią.
wszechświat w swoim kształcie wchodzi w piąty wymiar. coraz węższe ścieżki
moszczą się w zmęczeniu. pachnie drewnem świątynnym świątobliwa starość.
tęsknota tylko zawsze świeża, wraca drutami wysokich napięć, lśni pajęczymi
nićmi. wspomnienia drogie jak potrzeba wiosny. podwójny portret wczoraj-dziś.

zostanie ze mną już do końca. każde słowo mnie do niego zbliża.

[nieokreślony aromat malwy,
zegarek po ojcu, medalik po matce. za paznokciem areał żniwnych pól. widok
[cieplej kropli
Madonny w ogrodzie, gdzie przycupnął czas. zanim horyzont zamknie się
[fastrygą
czarno-białych dni. potem już tylko podniebny jeździec pilnować będzie kapliczki
na rozstaju dróg. i Madonna poniesie kamień, jak owoc na grób.

Pejzaże

krajobraz pelargonii cierpliwie rozsopluje sznurówki okien. cień Chrystusa
[przybity
do krzyża nad drzwiami. z wytartym grzbietem kot wydeptuje skarpetki na
[drugą
stronę mruczenia. na śnieżnym płótnie ściany kilim malw, i pielgrzymi szlak
słodkiego zmęczenia pątników z odległej pasieki, w zakurzone smugi słońca.

kamień podpira starość węgla, ojciec posadził jeszcze jedną jabłoń. i choć mięta
nie pachnie już zdrowiem, cisza zasiana makiem, wspomina gwarne popołudnia,
gdy dom wypełniał się świergotem, zwołującym rozproszone niebo, droższe
od własnego oddechu. tam stary płot wita wciąż, rozkołysane pąki marzeń.
jak obraz światła niedomalowany, to co nieważne, takie ważne teraz jest
- rodzinny stół, opasujący każdą z naszych rozmów.

jeszcze tylko pokroić chleb - żeby dla wszystkich, po dawnemu. płaszczem
[modlitwy otulić dzień; nie odejdę stąd, nie odjadę, zanim mogiłnych
[nie zamknę drzwi, ręką
która siała len na główkach dzieci, kalecząc się w kółkach mroku
[- nie odpocznę.

aż psy wyszczekają niebieską miedzę, za którą dziesięciopalczaste rozmowy
[z Bogiem



nabiorą znów kształtu, a od progu słońca, noc z latarnią wychodząca w pole,
trosk nie zostawi za rogiem, i stół nie zacznie się uginać, pod barwną dzikością
[róży,
na wino gotowej. koryguję niebo do chabrów z dzieciństwa, i na stawie
[co zawsze
udawał morze buduję most dla nadziei i wiary, po którym przechodzi pustka.
drwa narąbane, piec napalony. pierzchły ostatnie metafory, i końskich kopyt
odległy tętent, na ścieżce co znała wszystkie zdarte kolana.

w którą stronę się budzić, by na jawie śnić bajeczną radość, gdzie wiosennie
[pobielone jabłonie,
przed progiem chaty coraz starsza matka, i zapach śniegu, gdy słońce najbliżej.

bo tam, skąd idę, nie ma już radości, jest pośpiech. ale upór ptaka
[kochającego gniazdo,
nie da mi zapomnieć ojca wstającego wcześniej, by obudzić słońce porannym
[pacierzem.
i rozmowy klepanej kosi z Panem Bogiem, przemycającej skowronkowi
[polecenie,
by poruszył śpiewem łąny metafor. obrazu matki. na sznurku rozpiętym
[pomiędzy
jabłonią i gruszą, wieszającej krajobraz prania, tak świeży i piękny, szumiący
strumykiem – koronkową historią zapomnianych lat.

nikt nie zdejmie mi z serca tęsknoty, za starą szkapą i poczciwym siwkiem,
[z połowy drogi
do żłobu w gorące południe, i krasuli co się zmagać musiała z upierdliwym
[bakiem.

nikt nie
wyrwie mi z głowy tamtych bajek z dzieciństwa zasłyszanych od rozmów
[z przędzą kołowrotka.

ze wspomnieniem, że czerń skiby złotem lśniła dla mnie, gdy Chrystus
[przydrożny ocierał
pot z twarzy, patrząc mi na ręce wykręcone bólem, uparcie dążące do nabrania
[sił przed
kolejnym wejściem w kolorowy witraż pól, gdzie tylko święci mają swoje
[miejsce. stąd idę,



niosąc w oczach cud rozstań nigdy nierozstanych. świadectwo wiary i pokory.
[z puzzli
układam twarz mojej ziemi – delikatność błękitu i żar czerni. znajomy pejzaż
[kładzie
się dywanem, po którym delikatnie stąпам, żeby go nie zburzyć, nie zapomnieć.

Frasobliwy

kiedy ojciec odchodzi ze swojego pola, najbardziej płacze ziemia. tysiącem
[drżących oddechów
szlochu faluje skiba. ziarno mocniej wciska się w jej łono, by na zawsze
[nie odejść, a lipy
zielone szelestem, wracają do domu na skraju wioski.

jak dopasować włócznię do boku, by nie bolało zbyt mocno, gdy wędrował
[do Ciebie będzie,
mój wiersz prosty, i szorstki, niby Twoja dłoń z błyskiem potu, w słońcu
[zachodzącym
milczeniem ostatniej wieczery.

tylko siewca z obrazu Van Gogha, i przydrożny Chrystus ciągle tacy sami –
[dwaj wierni
słuchacze dziesięciopalczastych rozmów z kosą, zapalają lonty tęsknoty
[w labiryntach
domostw. na szachownicach pól, grają z wiatrem niestrudzenie długo,
[w cząstkę
swego świata, o szczęście mierzone miarą długo nie nakręconego czasu.

tam, gdzie jak śmierć do życia, przyrósł mi do pleców, skrzyżowany ciężar
[tamtych chwil,
w których drzewa szepcą jeszcze moje imię, kłuje niedojrzały agrest, i pachną
[pęczki
fiołków skryte w rzeczywistość trawy, słuchającej jak w rosie śpiewa ogień
[gwiazdy.



tu wiatr w pamiętniku skiby zapisuje daty swojej obecności, i welony ślubne
[kładzie
na gałęziach. biały ornat brzozy błogosławi polom, gdy pług głęboko
[zanurzony w ziemię,
by wyorać kamień, stęka pod naporem potu, a do kraju ciepłego kominka
[uciekają ptaki.

słabiutkim szumem kolęduje las, na próżno dukaty w radość wiąże.
[na zapomnianym progu
samotny siedzi Bóg, jak naga zgarbiona prawda. w środku tego świata obcy
[świat się zatrzymał.
brudną kroplą po szybie spływa, jak cząstka czasu co już minął. ktoś się stąd
[wybrał
w daleką podróż. z lampą księżycą i brzozowym kijem, polami błądzi
[bezzębny zgryz.

nie pamięta krzyżowej drogi ścieżka do pól, ani powrotu z przewodnikiem
[pszczoł pod lipę,
gdzie słowa kroplami miodu sączyły cień, a zsiadłe mleko zatrzymywało
[godziny,
wysiadając w otwartych jak ramiona drzwiach, rozmowy o życiu.
tu ojciec nabierał sił, przed kolejnym wyjściem, do bólu klęcząc przed własną
[dobrocią.
świttem odjechał w daleką podróż, zbijając w list ostatnią skrzynkę, podobną
[czterem
ścianom, pod dachem historii i okiem czereśni.

długo czekałem aż stopnieje śnieg z wszystkich naszych zim. dopóki żył,
[twardą ręką
trzymał kotwicę rzuconą w ukojenia przystań, i rozdawał ciepło, pnące się ku
[skroniom
szyfrem do drzwi do nas. drugiego takiego nie spotkam.

znów cheszę wierzbę, z lat splatam warkocze w zielony różaniec.
z piedestału przestrzeni schodzę bosy na ściernie. groby pól widzę puste.
[wybacz mi ojcze, na traktor zamienione konie.

Frasobliwy, jak dawniej, przebacza każdemu, zapomniany na obraz
[i podobieństwo.



II nagroda

Anna Piliszewska

Widzenie

W cieniach lip czarnoleskich, na strunach
jasnego światła ciepłe podmuchy wiatru wygrywają
canzonę – i Bóg ucho natęża,
chłonąc wdzięczną melodię. Pochwalony dom,
w którym *Pieśni* pisze Poeta,
błogosławione drzewa, trawy, kwiaty, powietrze.

W przeświecionej przestrzeni: na dziedzińcu i w sieniach,
nad stawem, kiedy na tafli półrozkwitłe
grążele fal lekko kołysze,
nad stołem, na którym księgi, gęsie pióra i lament
liter jeszcze niepewnych, czy ułożą się
w *Treny* – rozbłyśki i światłocienie.

W zielonych arkadach krzewów
kręcą się psy
i wiernie chcą zaglądać przez ramię:
patrzą ręki łaskawej, która ich sierść pogłaska.
I naraz dziewczęca postać składa wdzięczne ukłony
ojcu – hop!!!, i już na kolanach!
I głowę płową przechyla nad wierszem i linią ręki,
zaglądając ciekawie – a tam biały pergamin.

Trąca łokciem kałamarz w płóchej,
tkliwej zabawie – i inkaust czernią zalewa *Odprawę*
postów greckich. Lecz się ojciec nie gniewa
i cierpliwie tłumaczy – razem
suszą zalane
karty białą bibułą – a przy stopach ich wyżyły
ogonami łagodnie przecinają powietrze...



Taki mój sen-widzenie.

Na strunach jasnego światła inną grywa muzykę
i inaczej kołysze renesansowe cienie
wicher, gdy pogwizduje w lipach. I grązele nie kwitną. Inna już
pora roku, inny chłód, inna cisza.

I tylko pszczoły ostatnie nad dywanami kwiatów.

Jesień już, mistrzu Janie.

Bóg przysiada pod drzewem zadumany -
i wzdycha...



Czarnolas. Sen Boga

We dworze czarnoleskim drzemią wierne
pamiętki: dębowy fotel z herbem, stare drzwi od skarbczyka
i echa renesansowe w mrocznych, chłodnych
piwnicach. W parku tchnącym zielenią
wzdychają leciwe drzewa. Cisza
ciszą oddycha.

Tu ptaki
z mchu i gałązek wyplatają swe gniazda, tu ulewa
wydzwania swoje śpiewne pacierze. Tu Bóg
siada w lipowym, miodorodnym trójcieniu
– zasłuchany
w brzęczenia pszczoł – i usypia.

W Jego śnie Jan jest młody – śmieje się;
jeszcze nie wie,
że kiedyś *Treny* napisze – dziedzińcem stąpa dostojnie
z małą córką przy boku. I dzieją się wszystkie pory
dnia
równocześnie.

I równocześnie płyną
wszystkie pory roku. A czarnoleski wicher
sfruwa, by opowiadać
dziwne bajki Orszulce – o wodzie, gwiazdach, powietrzu,

I kołysze się święta cisza między drzewami,
Jan z córeczką głaskają charty wierne i czule,
a pszczoły śnią się
i brzęczą...



Melancholia

W krążeniach drobinek kurzu,
w pleśni
mrocznych graciarni,
niepotrzebne nikomu, drzemią stare przedmioty.

Rękawiczki włóczkowe o jednym, czerwonym palcu
obgryzionym przez mole, stary zegar szafkowy
z zaśniedziałą kukułką, zardzewiały bąk, konik
krwawiący garściami trocin, samowar, żelazko z duszą, łyżwy, sanki
bez płóz...

One wszystkie – niechciane, porzucone klamoty –
trącające myszką, chore,
suchą łzą
melancholii, białą magią lamusów
przyciągają
i kuszą. To dlatego stajemy naraz pośród pajęczyn
strychów i zakamarków, piwnic, składów, pakamer,
by pomyśleć ich smutek, kurz
i unicestwienie.

Być może to właśnie miejsca i kalekie przedmioty
wybierają nas,
po to, żeby czas się zatrzymał. By na *tutaj i teraz*
nałożyć ubiegłą przestrzeń.

Być może też dobry Bóg
kiedyś, w proch obrócone, podniesie je
tak jak i nas – i uleczy
z nicości –

otrze z ciszy popiołu...



III nagroda

Kacper Płusa

no future! pieśń o spokojnej starości

Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia.
Stanisław Grochowiak *Do S.*

dojrzały stajesz się tego dnia, kiedy w łodzi gra Moskwa a nie masz ochoty iść
[na ich koncert.
i wtedy, kiedy zaczynasz rozumieć, że jesteś człowiekiem bez przyszłości,
[lecz nie oznacza to
marihuany, taniego wina, długich włosów, sikania w krzakach, oglądania
[w necie pornografii.
nie krzyczysz *jebać rząd, jebać państwo!*, bo z podatków co miesiąc wpływa ci
[renta socjalna.

i zaczynasz rozumieć, że no future to samotna starość, podczas której
[niebezpieczną wyprawą
będzie dotarcie do kiosku po gazetę. a napis na koszulce, co pasuje do
[twojego stylu ubierania
zmienia się z *sex, drugs and rock and roll* na *i love my dps* albo też *ustąp miejsca*
[w tramwaju.
i już nie stać cię na taksówki, lecz wciąż wiesz, że znaczek mercedesa to
[przerobiona pacyfka.

póki umiesz śmiać się z tekstów patyczaka bezzębnymi ustami, wiedz, że
[jeszcze nie umarłeś.



spółka z.o.o.

autorom antologii zebrano się śliny

I

młodzi towarzysze, stwórzcie dwuosobowy ruch oporu, sprzedajcie wiersz
[na wolnym rynku.
niech czytelnicy sprawdzą, jeśli mają na to ochotę, przejrzyście i szczerze
[waszych głosów.
nie mam do was pretensji, że podczas rewolucji zachce wam się spółkować
[gdzieś po kątach.
jeżeli mam pluć na oślep przed siebie, to stwierdzam, że dużo lepiej opłaca
[się kupić kopertę.
poeci zaangażowani, piszę do was oficjalny protest, bo akurat teraz zebrano
mi się na to śliny.
zaadresuję: *sekretariat lumpenprekariatu, barak drugi, plac budowy socjalistycznej*
[ojczyzny.

II

nie chcę manifestu. ocalę w pieśni tę, przy której zasypiam i utrzymam
[retoryczną dyscyplinę.
ten list do bliskiej mi kobiety rozpocznę *najdroższa*. nazwijcie mnie za to
[kapitalistą, zgniłym.
nie mam niczego. to dokładnie tyle, ile trzeba. jestem jej udziałem, a ona jest
[moim imperium.
z tej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością najbardziej lubię nocne
[zgromadzenia zarządu.
własnoręcznym podpisem potwierdzę każdą transakcję finansową, jaką mi
[wtedy przedstawi.
wielce szanowni amatorzy, musicie wiedzieć, że nikt, tak jak ona, nie potrafi
[mnie agitować.



Wyróżnienie

Edyta Wysocka

Psalm o Ziemi

*Kościół Cię nie ogarnie
wszędę pełno Ciebie*

Jan Kochanowski

*listek? nawet listek jest ważny
bo pod nim ukryła się Boża krówka.*

podziwiał
pókiś przywarty do Ziemi
jak jaskółcze gniazdo
póki w leśnych kniejach swobody
póki w ich dotknięciu

miejsca
kiście obrazów
źrenice czasu
sakramenty żywota...
posłuchaj jak nad ich sklepieniem
Maestro kształtuje rytm
jak brzmi stereofonią ciszy
i jak daleko tę ciszę słyhać
bo w psalmie słonecznym
dziewiątej symfonii świata
gdzie każdy dzień
to tysiąc lat ogromnej wolności

kamienni pasterze nieprzebytych kniei
mchów brodate zegary
i dęby rozłożyste
one stoją w zadumie
na tysiącletnie czasy
bo to są dzieła wzniosłe
najbliżej Boga



i ptaki
i wszystko co w górze
gdzie najjaśniej
że aż ziemia pod nimi uklęka

wiatry doznań i zachwytu
że można nieść ten splendor
niezwykły a codzienny
rozmieniony do okruchów ziemi
w ślimaka wilgotny zapis
w zawilców białe wersy
w pokorę rzewnych oczu sarny
aż po rozległość najczystszej wolności
która nie przeminie nigdy



*My, nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.*

Jan Kochanowski, *Tren XVIII*

po między nami
woda
powietrze
konsonans dźwięków
i akordów ziemi
nieskazitelnym jak bachowskie granie

po między nami
drzew jednaki oddech
ptaków odloty i powroty
bez drogowskazów zegarów...

po między nami
świat przejrzysty cały
i słońca solo rytmiczne
bo po dniu noc
po nocy dzień
z refrenem zmierzchu i świtu

po między nami
zgodne tętno życia
harmonia śpiewu i ciszy
bezkres wieczności
gdzie gwiazd miliardy
w swej nieskończoności

po między nami
żywe życie żyje
a w nas
chichot dziejów tylko
co wciąż narasta narasta...

bo my
tak wszystko do góry nogami
że nawet Bóg bezsilny



Tylko cisza i kwiat

Nic po cierniu kiedy róża spadnie.

Jan Kochanowski

Czym jest
Miejsce po kimś
Kto był...
Fotografią
jeszcze wilgotną
Od życia
Myślą zaznaczoną
Na ostatniej stronie
Książki
Zapachem perfum
W zakurzonej szkatułce
Motylem na szpilce
Przypiętym
Do wspomnień...
Może powietrzem tylko
Co po nim
Życia próżnię
Zamknęło...
Czym jest to miejsce
Po kimś kto był
Od pierwszego krzyku
Swojego
Do marmuru
Zimnego
Czym...



Wyróżnienie

Tadeusz Charmuszko

Imago

tuż przed zachodem słońca
cienie stają się elastyczne
rozciągają w nieskończoność
która nas wolno pochłania
rozpływamy się w mroku
zlewamy się z otoczeniem
stajemy się niewidzialni
brylantowe szpile gwiazd
wbijają się w nas bezkrwawo
przykuwają naszą uwagę
naszpikowani do szpiku kości
łapczywie wciągamy w nozdrza
co jest akurat do wciągnięcia
zdajemy sobie sprawę
że nie jesteśmy perłą nocy
lewitujemy w mistycznym
uniesieniu nad marnościami
tego świata i wtedy jeden
za drugim wpadają nam
za kołnierz rzecz jasna
chrabąszcze majowe



Babie lato

łąki chustą mgieł okryte
i skowronek odprawiony
od wygonu ścierniskami
babie lato idzie przez zagony

delikatne zwoje przędzy
pełno jej w powietrzu leci
już się boją liście osikowe
że złowione będą w sieci

nitki długie nitki lepkie
nitki lśniące jedwabście
a nad głową rozwichrzoną
niebo takie jasne takie czyste

już na miedzach jest dylemat
jak się wyrwać z tej powodzi
w której z baletnicy wdziękiem
tak beztrosko ziemia brodzi

dławi przesyt pajęczyny
lecz czy bez niej jarzębiny
co w czerwonych są koralach
mogłyby nasze sny zniewalać



Obłoki

obłoki zwijają się w watę
cukrową potem snują się
po parkowych alejkach
w asyście dzieci i gołębi które
nie odstępują dzieci na krok

ciekawość ciągnie srokę
za ogon od kramu do kramu
obłoki wokół jeden drugi trzeci
chyba wszystkie z nieba
do parku sfrunęły na piknik

zapach lipy łaskocze nozdrza
słodki obłok na patyku
w dłoni pięciolatka
zwiastuje
pogodę ducha



Wyróżnienie

Andrzej Ziobrowski

wieków księgi

światła gotyk okrywa ziemię
mnichów modlących się w refektarzu
gdzie bladolice madonny spozierały z płócien
oczami w których spisane są dzieje ziemi nim
w werniksie zastygły z uśmiechem tajemniczym
gdy czas jak księga skrzydła rozpościerał płynął
strugami w niewiadomą przestrzeń

echo po krużgankach niosło jak
zapowiedź złych lub dobrych wiadomości
nim gasły ciężarem modlitw przytłoczone

renesansowe niebo dźwigało zapowiedź wiosny
szelest ptasich skrzydeł przynosił burzę tu żył
człowiek obarczony troskami słoneczny poryw
niósł gdzie ścierały się idee poglądy platońskie
na tematy życia śmierci

w słowiańskich rytualnych tańcach
cień padał na ziemię niczym człowiek rażony strzałą
wieści się nosły daleko jak echo gdy lkało
nim czasu mieczem zostało przebite

tu śniliśmy swój sen o ziemi na równinach
tkaliśmy pieśni które nuciliśmy synom swoim
splatały się z nami dzieje czasu mocnym węzłem
przymierza pokolenia śpiewały hymn pochwalny
piękną pieśń o życiu ludzkim miłości naszej

wędrowce po kres wieczności



Urszula

gdy niebo otwarło dla mnie podwoje
Bóg z tęczą obłoków rozsunął cudne pokoje

w nich spocznieś Urszulo kochana
wśród boskiej gromady nie będziesz sama

Anieli prowadzić cię będą cudownie
gdzie nieba są śliczne bliskie jak nikt tobie

usiądnij rzecze Bóg cały w bieli
opowiadaj o Czarnolesie do woli

Panie tam śpiewa źródlane tętno wody
pragnę słyszeć pszczoł miodne trzepoty

ziemię twoją Urszulo zachowaj w Niebie
Bóg z miłością mówi cicho do ciebie

kochaj wszystko co drogie z Czarnolasu
nie będziesz tęskniła oczu nie wyplakuj

stworzę ci w niebiosach ziemi twojej piękno
więc raduj się słowiańskich cór to święto

zaprosz dziewczęta na ucztę niebiańską
niech przyniosą z sobą lirę czarnoleską

będziecie razem miło wspominać dzieje
ziemskie cuda zapłoną niebiańskim strojem



białe łabędzie

co nas unosi ponad horyzontu jawę
gdzie rozkosz nasza gniazda skromne mości
nad wodami w przecudnej stromiźnie głębi
białe łabędzie muskają toń wody
skrzydła rozpostarły jak obłok pierzasty
co płynie z tajemnych krużganków blasku
gdzie słońce uparte naszą gorycz słodzi
w codziennej gonitwie z różą wiatru wśród
trzcin cudne grążele rosną niczym
czaple kołysane lustrem wody

nagle ptak łagodnym nieśpiesznym lotem
z moim zachwytem jak żagiel po błękicie płynie
tak niesie się zaklęta w tajemnym kręgu świata pieśń
z harmonią którą wielki poryw rodzi

dookoła ziemia pełna barw niczym wieże strzeliste
co świecą blaskiem niezmaconym nad nami
które księżyc strzeże później noc dźwiga
to porywem lata w dal tajemną prowadzi

czas letnią porę ze mną wiąże krótko
jakże kochaną jakże okrutną tak zsyla
nam panią rozkosznie rozrzutną która
każdego zaborczo czule uwodzi gdzie
radość moją coraz rzadziej we wzorzyste
suknie lato stroi



I nagroda

Katarzyna Wiktorja Polak

Dorota Podlodowska

Bielinek czarnoleski
krąży nad sukнем pól.

Ścieżka zarośnięta ostami.
Ktoś pije z czaszy cierpkie
wino, gdy koniec października mierzy ciśnienie
światła w suchych trawach i w ostach.

Rybacy wysupłują z sieci szamoczące się płocie
do łodzi bez dna.

Otwieram okiennice – dymiące morze
kończyn tchnące ciszą ospale zastyga
w miedzioryt. O zachodzie
olbrzymieje las pokrzyw, ciemniejają lip
skrzypiące cienie –

i staję się
Persefoną tkającą
na kamiennych krosnach
szatę

z asfodelami
we wzorze...

głosy, echa, miraż

na marginesach brulionów, na skrawkach
starych serwetek
hoduje czas zaprzeszy. nie sadze
bys miel ochote

w wolnej chwili
posluchac Lukrecjusza
wykladu spisanego
przy swiecy piorem
i heksametrem.

po drugiej stronie przepasci
dostrzegasz jakas kobiete
i wolasz ja

moim imieniem.



za drzwiami

schnie drewno okien. na parapecie dzbanek
z cyklamenami,
więc włożyłam dzisiaj sukienkę
o zapachu cyklamenowym.

kiełkuje gorzka jesień
nad stołem,
przed chwilą jasnym.
sztachety chłoną liszajami wilgoć.
za sztachtami szmer głosów i otwarty
dom.

profil dziecka jaśniejący w oknie.
odległość zasnuwa czas.

cień drzew migocze, wnika
w zużyty blask
starych zasłon.

furtka, która spróchniała kwiecicie,
splata się
z ogrodem.

otwieram zardzewiałym
kluczem wewnętrzne drzwi. podłoga jest
wyłożona zielonym dywanem
mchu.

waham się. uszczypnąć się w policzek,
czy wejść...?



II nagroda

Anna Piliszewska

Kochanowski rozmawia z córką

przedmioty oddychają tak cicho – nie oczekują niczego od losu.
tylko w skrzypieniach drewna i żelaznych zawiasów czasem
czai się skarga. myślę o Tobie, córko, o twej wdzięcznej osobie...
o drobiazgach – bezcennych jak klejnoty niebiosów.

zawołam czule zwierzęta, niech wskoczą mi na kolana,
niech czujne i wierne pyski mi położą na rękach. a pamiętasz,
jak darowałem Ci na urodziny seledynową
suknię z popielatym deseniem – poplamiałaś ją
sokiem. szkoda, że nie pamiętam, gdzie jest tamta sukienka...

światło jest dziś bursztynowe, dziwne – znów w kałużach się ślania
– usiądę tam, na werandzie... w wyściełanych fotelach
skacze promień słoneczny jak rudozłocista łania. i buszuje
w łopianach, i się chyłkiem spopiela...

opowiem półszepem klechdy – czarodziejki,
straszydła, które wyszły z kart książek, lecz zostały
w przestrzeni garścią kurzu i solą sprószonego dzieciństwa
i tułają się głodne – już bez miejsca na ziemi.

i jeszcze Ci opowiem, jak kochaliśmy się kiedyś – wtedy,
gdy lata były gorętsze i zimy bardziej siarczyste. więc przyjdź!,
zaceruj nasz pled. zaceruj wiosnę i jesień,
sens i sen,
łzę i listek,

bo czarny mech, bo świeci czarnoleskie
próchno, bo stęka kredens na strychu, bo wilgoć w izbach i w sieniach...
więc Ci opowiem wszystkie



me łzy ojcowskie, nieprzeplakane, gorzkie... – jakie to straszne, gdy zmarli stają się obojętni

i milczą, nie mając żywym zupełnie niczego do powiedzenia...

Renety

Nad dachem mojego domu przemknęły swarliwe zięby. Zakopane w piwnicy szable okryły się czarną rdzą – pożerała je ziemia. Lej po bombie przy szopie zakopano i znałam tylko o nim opowieść. Lecz domysł okrutnej śmierci sprawiał, że ciągle nasłuchiwałam, czy nie słychać pod tynkiem eksplozji, jęków i grzmotów – do dziś boję się wojen.

Lecz w cienistym ogrodzie, sadzonym rękami dziadka rosły chrome jabłonie. Tam uciekałam! – pośród gęstwy zieleni wiało świętym spokojem. Być może drzewo wiadomości dobrego i złego było szarą renetą? Renetą, na którą wspinałam się i z wysokości konaru zapytywałam, dlaczego bulwiaste wyrzuszenia ciągną się od korzeni, aż po spróchniałą dziuplę? I babka odpowiadała: to rak zjada jabłonie.

Nie ma już żadnego drzewa. Nie ma tu żadnego drzewa, oprócz kalekiej brzozy o białym, chropawym pniu. Ale brzozy nie rodzą nawet drobnych owoców.

Nie, nie ma tu żadnego drzewa, oprócz kalekiej brzozy – siadam pod nią w milczeniu. I czekam. Przyjdź i opatrz mi rany – zalej je oliwą i winem. Posadź na swego osła. Nie żałuj tych dwóch denarów, bym mogła opowiedzieć swym córkom, że warto doświadczyć miłości łaskawej. By i one umiały otwierać ręce. By w swoim czasie skropiły czyjeś głębokie rany oliwą i winem. By zasadziły renety...



Traktat o czasie

*Powiedz słowieński rym, o wielostrona
Lutni złożona ...*

Jan z Czarnolasu

Ten wiersz spisany na liściu czytałeś późną jesienią,
kiedy ludzie i drzewa cierpliwie zachodzą rdzą –

ten wiersz, wiedziałeś, był jedyny. I jedyny był liść,
na którym szkliły się wersy – świeciły w labiryncie
drobnych żyłek i kryształków dżdżu.

Przywoływałeś w myślach rzekę, z głuchym pomrukiem
niosącą na swoim grzbiecie wytargane korzenie.

Zwierzęta strzygły uszami, strząsały iskrzące krople
z sierści. Owoce spadały w trawę. Poszeptywały sady.

Na kwiatach kładło się światło,
ale polem szedł mróz – zwarzył wiotkie rośliny,

więc szukasz tamtego czasu
jak liścia z mozaiką żyłek na postrzępionych brzegach
skropionego czerwienią,

jak jedynego wiersza...



III nagroda

Jacek Tatar

Ten moment

Deszcz rozlany nad Warszawą jak powietrzne morze. Kilka ptaków żegluje w nim bez strachu, bez nadziei. Na rogu ulicy starszy mężczyzna podnosi z chodnika przemoczoną gazetę, chowa pod połę płaszcza, ratuje wiadomości ze świata, kolumny ze sportem, kilka nekrologów. Z wentylacji bucha na niego obłok pary. Pułapki miast zawsze chodzą parami, w labiryncie ulic śmierć co chwilę potyka się o pocałunki i wyznania miłości, jest wysmukłą kobietą w punkowej koszulce, nie ma w sobie nic z ostateczności, raczej zdziwienie w oczach, usta wydęte w grymasie krnąbrnej nastolatki. I dlatego mężczyzna myśli: jeśli coś jest nieśmiertelne, to ten moment, chwila przed krzykiem słońca, które spali wilgoć.



I jeszcze

Ten chłopak spotkany w tunelu: zapłakany i samotny, z tatuażem węża na chudej szyi. Ta dziewczyna na moście, ze sznurem koralu jak z pętlą wisielca. Tych dwoje w pobliżu rzeki, z papierosami w wykrzywionych ustach, niemogących zrozumieć, jak miłość zamieniła się w codzienną walkę. Ten strażak, który połknął kulę ognia, gdy wynosił z płonącego domu śpiące niemowlę. Oni wszyscy w jednym śnie, w jednym filmie, który szaleńczą muzyką próbuje ukoić moje serce. I jeszcze może ten snajper na dachu wieżowca, ślepo wierzący w swoje własne prawo, okrutny, ale też piękny jak drapieżne zwierzę. I ja, teraz pełen pokarmu, nasycony, błogi. I śmiertelny, jeszcze nieświadomy prątków choroby.

W filmie

Najpierw łowili ryby, teraz piją na brzegu, zaciągają się papierosami i gorzkim tonem opowieści kompanów. Kiedy przyjrzeć się bliżej, widać jednak żal, żal dzieci, które wierzyły w wieczności piaskownicy, a którym w końcu pokazano ich miejsce w szeregu. Kiedyś uczyli się tabliczki mnożenia, dziś już tylko jak ukryć nieświeży oddech, jak brak nadziei zamienić w hardość i brawurę. W lesie za ich plecami odzywają się ptaki, radość śpiewu miesza się z odgłosami walki. Na wszystko nakłada się szczek butelek w reklamówkach z obrazkiem Nowego Jorku. Szczęśliwego Nowego Jorku, widzieli to w filmie.



Wyróżnienie specjalne

Tadeusz Charmuszko

Czarnoleska lipa

nie ma lipy czarnoleskiej
odszedł Mistrz Słowa
co pod nią siadał
turyści w pośpiechu
nim kurz za busem opadnie
łykają landrynki wiadomości
jak garść truskawek
ale lutnia raz trącona
przecież nie rdzewieje
w pokrzywach porzucona
kiedy wiosna wita się z latem
ze wszystkich stron
ciągną tutaj poeci
żeby pokłonić się Mistrzowi
przeczytać mu swoje wiersze
nie oceniaj ich zbyt surowo



Czarnoleskie lato

czarnoleskie lato
nasycone cynobrem
trzmiełami nabrzmiałe
z bocianim klekotem
nad dachami rozpięte
skrzypem skrzypi
w starej furmance
kumakami kumka
na zielonej łące
pod błękitną markizą
jak piec gorące
brzuszkami jaskółek
dotyka lustra wody
szuka wytchnienia
szuka natchnienia
w obłok poezji zamienia



Lipiec

lipiec zwyczajnie wyskoczył
zza pleców czerwca rozprostował
nogi i leżał z ulgą w koniczynie
polewał się wodą i targał za włosy
ludzie biegali bez ładu i składu
jakby im kto garścią soli nasypał
wiadomo gdzie albo nie wiadomo
miał sporo spraw do załatwienia
po czerwcu została przecież trawa
mocno przerośnięta zboża pożółkłe
owoce kwaśne i parchem pokryte
trudno od razu wszystko zaróżowić
jednym śmiałym liżnięciem słońca
żeby ludzie nie narzekali ale i tak
będą złośliwie mleć jęzorami
jak nie przymierzając skrzydłami
wiatraki których zrobiło się pełno
tak naprawdę nikt nie doceni
starań więc może lepiej od razu
starczy jedno oberwanie chmury



Wyróżnienie I stopnia

Monika Mazur-Mitrowska

zdarzam się czasem
mówię przez sen niebem
fragmenty świata zmyślam
na pięć zmysłów zamknięta
posypana manną niebieską
miłość na końcu świata
wieczność powracania
wykapany raj

kosmogonia mleczna kołyskowa
na otwartym sercu morze
wpływam do krajobrazów
znajduję wszystkie moje końce świata
przyładki ciała
brzegowej linii papilarnej

oceany wód płodowych wysychają
rozstają się imiona różą wiatrów

tęczówki zanurzam w sepii
opalam się nad styksem



agory filozoficzne zarastają bluszczem
runem innego świata niejednego dnia
w przelotnych trzcinach
rozum śpi
koszmary wychodzą na łowy
w letargach zaduszne dymy
w pajęczynach złotego środka sny
kamienie leżą na wznak pod niebem

na pokuszenie łudząco podobnego raj
w niepewność pozostawionego jabłka i węża
zakradam się do nieswoich edenów
wracam przed baśnią
przebudzeniem
pod światło splotu słonecznego
ogrodu poniewczasie



Wyróżnienie I stopnia

Krzysztof Rejmer

Apteczka domowa imć pana Herbutta

w spizarni mej jest kredens wielki w którym
przy boku konfitur i licznych przysmaków

sera gomólek gęsi kapłonów szynek i kołaczy
krup i ozorów jajec grochu głowizny i raków
pekelflajszów taśbiru miodu cebuli sandaczy
jest też i przecudna wódek wielorakość...

wódek co stoją niewzruszone szeregiem w ordynku
jako wojsko przed walną bitwą w polu zgromadzone
jak pospolite ruszenie szlachty całego powiatu
co buńczuczne i wielobarwne na łup oczekawa
wesole jako trefniś na córki weselu
likwory mocą pary przegnane przez halambik
ten garniec gorzałczany z pokrywką z rurnicą
przez cną mą panią żonę
nie u klarysek tej sztuki w młodości uczoną
lecz przez jej babkę w dystylacji białogłową biegłą
i z rękopismów co w domu po pradziadach do dziś się ostały
wyciągi ze szpikanardu pędzone z derenia z izopu
i z terek które gdy surowe to gębę na nice wywrócą
z orzecha i anyżu takóž z cynamonu kory
i ziół rozmaitych jako tatarskie ziele
zwane też ajerem
i z piołunu gorzkiego oraz z gruszek słodkich
nie wspomnę o iablęczniku modnie cydrem zwanym
co za napój pospolity ująć może bo od dawna znany
wszystkich tu nie wymienię
lecz wszystkich rad skosztuję...



są też i rzeczy insze jak na niemoc sadła
te pospolite wilcze zajęcze i lisie
jakoż i drogie maście które wielce zacne
borsuczy czy niedźwiedzi łój od wieków używany
o który dziś już wielce trudno ale my go mamy
i strój bobrowy sławny castoreum
zwany
co wyśmienicie działa na głowę i rany
i na mlecż kręgowy wzięte panaceum
histerię i migrenę bez trudu uleczy
przemnaża ciepło przezień skóry i puls wnet przyśpiesza
szczególnie zaś na niższe brzucho u niewiast skuteczny
przy chorobliwej drażliwości w tej sferze tak czulej
mamy też proszki z ropuch i z węzów i olejki różne

takoż i dryjakwie co cuda czynią nie do opisania możne
teriaki i antidota z Krescencjusza wzięte
ziola suszone liście kwiaty korzenie i siemię
a tak ich wiele mamy że też wszystkich nie wzmienię
wspomnę jeno kwiat lipy dziewannę majeran a do tego miętę
w kadłubkach z drewna i w sklennych słoikach
proszki chemiczne mamy z Królewca i z Wilna
bo nie czas szukać magistra w miejskich apatykach
kiedy sprawa zwłoki nie cierpi i nad wyraz pilna...

a gdy mi tu kiedy dzierlatka w oko padnie jaka
na taki obrót rzeczy są afrodyzyaka
i choć szafarka na mnie boczy się i wzbrania
z drogi mi schodzi unika i kluczy
to za czerwońca użyczy mi kluczy
zaś gąsce nasięzrzału czyli philtrum przyda do śniadania
mnie zaś membrum virile wieczorem postawi do boju
i choć się dziewczka mojej pani żony nie na żarty boi
to przecie swój dziardynek nadstawi mi rada
i choćby szła potem do spowiedzi

to nic nie wygada...

nie Kochanowski Jan jam alem stary miecznik
a przecież mowa moja dziś się w wiersz układa
w dłoń zatem zaraz chwytam pośrybrzany świecznik
i do komnaty młódki cicho się zakradam



lecz choć żem tęgi birbant tom poeta marny
przezo rym mój kulawy a czasem koszmarny...

a gdy już po wszystkim oknem gach głupi i stary
ja – halambik pusty bez pokrywy z obwisłą rurnicą
z łoża dziewoi uciekam jak jaźwiec bez wiary
patrzając na gwiazdy poranne jak na niebie świecą
cieleśnie zmęczon błogo chcę pokrzepić ducha
wtedy czerwonce nowym do szafarki pukam
a ona mi drzwi spizarni raz wtóry rozwióra

lecz nie znajdzie się tam wódka ani małmazyja
co prezerwuje od śmierci
bronio od kaduka...

Hortorum secreta

nie musicie wciąż podlewać mnie kryniczną wodą
zaprawioną miodem bym wydała z siebie
słodkie owoce
witalnam ja i obfita w kształtach córa Pomony
daję się łatwo oswoić
dopóki latem pieści mnie ciepły wiatr
muskając zieloną koronę liści i szepcząc czułe zakłęcia
a żyzna gnojem ziemia jest mi pokarmem
ja – wieloręka hamadriada
w każdej dłoni trzymam berło jabłka – otchłań cudów
która rozweseli duszę i ciało pokrzepi chorobę odegna
lecz nie ma przecież takiego drzewa
które w wyschłej glebie
opuszczone i posiwiałe z powykręcanyimi
przez starość ramionami
nie stałoby się jałowe bo tak jak ciała kobiet
ciężarne od zepsutej krwi mężczyzn
tak też i moje nie odróżnia płodności od gnicia



Hieroglyphicum mundi

nie znoszę tych wszystkich ambiwalentnych porównań
w których tak bardzo lubują się renesansowi poeci bo
drzewo
które mnie zrodziło
pełne jest rozumnej rozwagi oraz dostojności i
obce są mu złe namiętności
dręczące niższą formę istnienia
jaką jest człowiek
jestem po prostu tym czym jestem i
nie mam najmniejszej ochoty
być dla was niezrozumiałym znakiem
polichromią waszych erotycznych obsesji
ani zagadkowym symbolem do
rozszyfrowania
przeto nie chodźcie do sadu by
szukać tam wśród robactwa podejrzanych rozkoszy
i nie łudźcie się i
wreszcie raz na zawsze
odczepcie się ode mnie bo
anatomia jabłka zupełnie nic wam nie powie ani
o szaleństwie ani o
was samych



Wyróżnienie II stopnia

Anna Mikos

Jazz według Jacquesa Loussiera

Jan Sebastian Bach

Prelude No. 1 in C major

Biegniemy do siebie w srebrnych butach
szarpnięci rytmem kontrabasu
prędszej, więcej, goręcej.
W tym kościele nie ma organów
Rozpędzony czas tańczy odpoczywa
We wszystkości dobiegamy
W miłości.

Brandenburg Concerto

No. 5 in D major

- I. Allegro

Kiedy Perkusista uderza w talerze...
Muzyka śpiewa na fortepianie
jazzowo dzwoneczkiem – dotknięciem,
Wygina się strunami, podskakuje, wisi
aż do zbitcia. Spokojnie płynie czas
na okrągłym stole dźwięków
aż do rozdźwięku – zderzenia z falą.
tak, tak, tak, bum.



- II Affettuoso

Wpółdotknięte klawisze płaczą
jakaś nocą samotną
przegranym człowiekiem
smutne, czarne i ciche
upadają...
wznoszą się
i giną struną.

- III. Allegro

Całujesz mnie Panie nowym dniem
Więc załóżmy balowe kostiumy.
Przytul Nas proszę Twoim światłem
Rytmicznie tańczących Bacha
Aż zajaśniejemy dźwiękiem
zakręcenii błękitem
Dwa słońca do zachodu
W gorącym pocałunku
Uroczyście zaślubieni w muzyce
Pram, tam, ta tam, pram

- Jezu Joy Of Man's Desiring

Dzwonkiem
Słońce obudzisz i Nas
Porannych z pościeli miłości.
Chwała Bogu
Na ziemi i w niebie
Na wieczność.

Gavotte in B mino

Pójdziemy szemraną ulicą na targ
Kupisz kapustę, marchewkę i bób
A ja zaśpiewam pijakom
Modlitwę uzdrowienia
Pragnieniem Jezusa.



Concerto in D major for harpsichord

-I Allegro

Dzieci pobiegły do ogrodu
Gdzie dziadek kontrabas zapalił fajkę
Tak wygina i wdzięczy się do perkusji śmiechu
Że maluchy uciekły zdziwione i senne.
Mama ciepłutko przytuliła
Dzieci, dziadka i dzień cały
W ogrodzie...

- II andante

Pobawmy się dziś w kręgu miłości
Jak wariaci nie dbając o czas.
Za ręce, za obie chwyćmy się
Pobiegnijmy uniesieni oddechem
Na zielone manowce dźwięków
Szczęśliwi bo kochani.



Wyróżnienie II stopnia

Ela Gałoch

Ruiny

Ten dwór jest przedwieczny; przeżył tyle wojen, rewolucji, worków z pleśniejącym zbożem i butelek po najtańszym winie. Wszystko pokorniało przy nim, obchodziło z daleka, chociaż ludzie byli mściwi, wraz z parkietami zdzierali pamięć aż do obolałych fundamentów, pozostawiając pospolitość jak nieobrobiony kamień.

Z jam okien wieje stęchlizną, lecz ja, wciąż toczę tu trudy świtów, liryczna, uzbrojona w nadzieję wyobraźni, stwarzając sobie kształty dla snów. Bo jak pożegnać się z tą pustką? Wciąż przeczuwam dźwięk klawesynu, a jesienny wiatr zapala sarnie świece w kandelabrach parkowych drzew.

Bo przeze mnie przemykają obrazy zbrązowiałe i te, jeszcze nie ostygłe z farby krajobrazu. Jaśnie Pan mierzy do gobelinowego jelenia, krzyczą fuzje; uderzają w oczy pasy nabijane świecidełkami. *Canto* Pani niesie echo przez pokoje.

W kątach barokowe księgi porozrywane przez myszy. Strojni lokaje nakrywają starego odźwiernego kożuchem pleśni, potem kładą mu na powieki złote ruble. Tylko ogromny zegar jak ołtarz, z czasem zatrzaśniętym, na pajęczynach łańcuchach waży zmęczony mrok.



Swojskie pejzaże

Na stary dwór najlepiej patrzeć spod półprzymkniętych powiek.
Pokoje na dole rozerwą spowijającą czerń lisimi źrenicami,
mimo że między tym, co jest tam, a tu – istnieje tajemnica. I ściany
staną się lekkie, wyrosną ponad przeciętność nocy. W tej wizji
oswajają się nasze lęki. Bo w śniegu każdy podupadły dom wygląda
jak zaczarowany. Egzotyczne rośliny mróz sady na resztkę szyb.

Znów mieszkają w nim hrabiny, pełne dumy, w otoczeniu srebra,
aktów i służby. Śpiewają po francusku, grają na fortepianie.
Szpakowaci panowie trzymają ich dłonie, nacierają, rozgrzewają.
Zapachniało starą wiśniówką i namiętnością. Wyznają głód bliskości
urywanymi zdaniem, rozpoczął się bal śnieżycy i wiatru.

Lodowe diademy zatrzymują się nawet we włosach licealistek,
co z ciekawości zapuszczają się do dworskiego parku. Śnieżne papugi
siadają na ich współczesnych płaszczach niczym ozdobne ornamenty,
czyniąc z nich zaginione księżniczki. Każdy ich ruch, pochylenie ciała
przypomina płasanie chochlików na tle rozbielonych pól.

Może nigdy wiosna nie nadejdzie, znikną stawy, drogi i wiecznie
będzie istniał ten nieprzewidywalny świat? Przecież nawet gałęzie drzew
przypominają kryształowe lichtarze, płonie w nich zachodzące słońce.
Tylko z oddali ujadanie psów budzi ze snu.



Echa

W letnie południe najlepiej położyć się pod jednym z tych starych pni, zapomnieć o sobie; rozkołysać się jak pod wzorzystą parasolką jaśnie pani. Park wydaje się bardziej dostępny, pełen głosów: spacerujące bony, państwo w łodzi, rozszczebiotane hrabianki. Bo rozmowy ptaków są inne niż w lesie czy wiejskim sadzie.

W październikowej, zgęstniałej przestrzeni pałac powoli wychładza się. Ogromny, biały jak zjawa na tle kolorowych jesionów i buków. Ograbiony ze strojnych drzwi, nagi niczym podniszczony grobowiec, ze schodami przepelnionymi widmowym szeregiem obcych żołnierzy. Boi się opowiadać, bo ich wyciągnięte dłonie z wygaszonymi kagankami są jak bagnety.

Jeszcze tylko w wyobraźni snują się smaki; kryją się po kątach półmiski z sarniną, truflami; skomlą rozrzedzonymi godzinkami kucharek. Bo przed czerwonymi łunami wojny pouciekali lokaje w strojnej liberii, ochmistrzyni; pokojówki, ogłupiałe niczym jaskółki przed burzą. Nawet dziedzic zniknął jak zwykły człowiek, kłując laską stangreta.

I przyszedł czas, gdy zamiast ognia otworzyła się późnojesienna pustka, gdzie tylko wrony nad wysmukłymi topolami, spędzone z gniazd przez starego pastucha Ignaca, krążą rozkrakane, niewybaczące.



I nagroda

Janusz Pyziński

Skąd idę

*twardnieje na kamień dom i chleb, nieprzekładalne na inny język.
i mróz przenika, i tęsknota za ciepłą kółdrą strzechy.*

tam skąd idę nie ma już radości
jest pośpiech
ale upór ptaka kochającego gniazdo
nie da mi zapomnieć ojca wstającego wcześniej
by obudzić słońce porannym pacierzem
i rozmowy klepanej kosi z Panem Bogiem
przemycającej skowronkowi polecenie
by poruszyć śpiewem łany metafor

obrazu matki wieszającej krajobraz prania
na sznurku rozpiętym pomiędzy jabłonią i gruszą
tak świeży i piękny szumiący strumykiem
- koronkową historią zapomnianych lat

nikt nie zdejmie mi z serca tęsknoty
za starą szkapą i pocziwym siwkciem
z połowy drogi do żłobu w gorące południe
i za krasulą co się zмагаć musiała ze złośliwym bąkiem

nikt nie wyrwie mi z głowy tamtych bajek z dzieciństwa
zasłyszanych od rozmów z przędzą kołowrotka

po drodze którą czas przykrył zapomnienia mrokiem
niosę na ramionach marzeń młody sad
tłumacząc się z mojej w nim nieobecności
krzyżuję wzrok ze wspomnieniem

że czerń skiby złotem lśniła dla mnie
gdy Chrystus przydrożny ocierał pot z twarzy
patrzac mi na ręce wykręcone bólem
uparcie dążące do nabrania sił
przed kolejnym wejściem
w kolorowy witraż pól
gdzie tylko święci mają swoje miejsce

stąd idę
niosąc w oczach cud rozstań nigdy nierozstanych
świadectwo wiary i pokory
z puzzli układam twarz mojej ziemi
delikatność błękitu i żar czerni
pod bosc stopy odległy pejzaż kładzie się dywanem
po którym delikatnie stąpam aby go nie zburzyć
nie zapomnieć



pytania

gdzie nuty gwiazd wygrały Chopina, i bryka księżycy wiozła Kopernika,
gdzie prosta mowa pieśni Mickiewicza, i gdzie mnie matka przed laty zrodziła,
tu pozostanę. wrośnięty w ugory, które niedługo trzeba będzie orać
ze świstem bata w skamieniałej dłoni.

coraz mniej mnie tutaj, coraz mniej. każdy świt rodzi tęsknotę za wczoraj,
każdy zmierzch roni łzę. rzekę co kiedyś zwano matką, ścieku mój, ciebie pytam
– co dalej? – ty wiesz, jeszcze żyjesz, jeszcze płyniesz obok tamtych lat.
jeszcze słyszysz echo rozmów kos z gwaszem malowaną ściernią.

wczoraj na moim podwórku zapadła się studnia, żuraw uciekł, wiatr porwał
skrzypienie kół. a przecież odkąd wynaleziono koło, koło było ze mną, był
i wesołe *wiśta hetta prr...* pod baldachimem bocianiego gniazda wierzby się
w kurzu dróg. spod ciepłego kominka ślad ostatniej podkowy przyniósł rzenie
[gdzieś
[koń i wóz,
[modliły
[koni.

można kochać do bólu, nienawidzić prostacko, lecz jakże przejść obok pastuszka
z wiklinową fujarką, jak przekroczyć milcząco granicę, nad którą się wraca
tylko w snach? nie krzyczeć, wracając na miedzę krótkich portek z dzieciństwa,
do mieszkania skowronka, co ze słońcem na skrótym polnym niebem gnał?

jak w oczy nie spojrzeć chabrom, makom, kąkolom? nie uśmiechnąć do wyki,
nie osmolić sporyszem? jak się pożegnać ze starym świętkiem, któremu tyle
się powierzyło, jak się modlić żeby wróciło, to co odeszło bezpowrotnie? –
[spraw
[policzone
plony, policzone błędy. gdy już skrzypiący krzyk gęsi na klucz zamyka niebo,

i zmarznięty Janko Muzykant powierza smutek różańcom, niosąc na ramionach
cały ciężar słońca ze stogów zbóż, w podkrążone zorzą oko widnokregu, gdzie
rozkoszą jest błędzić po bezdrożach pól poprzez ściernisk dywan, by wonne
psalmy koralików przeżyć, nanizać na niteczki wspomnień.



wraca w pamięci czas i cień, w splotach słonecznych rośnie dom, gdy
[w rzeźbionej
kornikami dzieży, miesi matka zaczyn dni. stoje liczący krzyk gęsi jako własny,
wzbierający żalem, że to już wszystko wyzute z najpiękniejszych brzmień,
nad epitafium tamtych miejsc, w trawach pachnących pościelą.

tam jeszcze tęskni opuszczony sad, stare drzewa rozdają sakrament młodości.
trawa umie rosnąć i głosić zieloność, w poszukiwaniu pod białą kołdrą śniegu,
utraconego czasu konwaliowych objawień. rozbija się gliniany dzban,
potykają się oczy o fotografie w sepii. piskłeta szykują się do własnych gniazd.

i tylko wiatr w pamiętniku skiby zapisuje daty swojej obecności, i welony ślubne
kładzie na gałęziach. biały ornat brzozy błogosławi polom, gdy pług głęboko
[zanurzony
w ziemię by wyorać kamień, stęka pod naporem potu, a do kraju ciepłego
[kominka
uciekają ptaki. dziadek przewraca się w grobie wianując wnuka ojcowizną

ojciec wciąż klepie kosę i biedę. śnieg wszystkich zim na jednym obrusie,
tylko powroty zawsze inną drogą, przez tę samą furtkę z urwanym zawiasem.
matka uczy dzieci pacierza, by sama nie zapomnieć, chustka z białej rosy
[zdobi twarz,
stroi głowę w lata. zapachy niosą się niczym echo, po krańce drogi, po szczyt
[drzewa.

wszystko co nade mną, ściele się pode mną, i z pustką się miesza,
niczym puls ziemi z dudnieniem młota w kuźni Hefajstosa.



Dziękuję

z wiatrem znad
pól posyłam Tobie Panie
pieśń wyrwaną poźółkłym strunom zbóż
jak zecer z postrzępionych słów
składam tekst modlitwy ze strofy w strofę
sobie coraz dalszy Tobie coraz bliższy
próbuję łapać w pajęczą sieć
kartki wyrwane z kalendarzy
zszywać je nicią pamięci

więdnące kolory dziewczyn znowu depce deszcz

czarna księga ziemi ze złoto-ziarnistą
przekładką piasku z prostymi literami drzew
stawianych Twoją ręką

na pustych stronach czasu klarowna symbolika kłosów
gdzie jest mój dom rodzinny pełen spojrzeń z okien
pelargonii przylepionych do szyby
w kolorze lasu głębia mojej studni
pątnicze stada gęsi na owsianych rżyskach
cień ojca w cieniu sosny wiążący marzenia
w snopy codzienności

między niebem a ziemią rozdeptany horyzont
stąd właśnie Panie posyłam dla Ciebie
pieśń dziękczynną za tykanie zegara które
nakazuje spokój demarkacyjnym liniom dni i nocy
za drogi pełne bosych stóp
haftowanych bąblami
za liczbowy popcorn własnego peselu
za starczą podagrę
bo nawet ona warta jest by żyć tą chwilą
w której Ty jesteś z nią

za własny cień nie znający zmęczenia
pomimo ukończenia szkoły przetrwania pod strzechą
że jestem tym kim jestem nie chcącym nic więcej
prócz ciągłej gonitwy wieczorów i świtów
za każdy dzień otwartej wciąż drogi
do której Ty trzymasz klucz



II nagroda

Andrzej Ziobrowski

Nieba geometria

w drogę do Nieba
prowadzą Anioły każdego
który orze boskie zagony
pługiem zmierzchu świtu radłem
codzienną modlitwą o deszcz aby
szumiało zboże kłosem złocistym niczym lata tęcza
gdzie bocianie klekoty ziemię tulą ptasią pieszczotą
pszczoły w Czarnolesie darem boskim obdziały każdego
ambrozją napojem mitycznych bogów

ptaki ludzie
to dzieci Boga
którzy łączą niebo z ziemią
niczym słońce co dźwiga
boską geometrię nieba



wyprawa po dobroć

przyszli nocą
pielgrzym gwiazda pies
zawołał pielgrzym w ciszy obłok
zaskomliła w odpowiedzi pustki pelargonia
nie dobudzono śpiących
księżycą na szczęście nie trudzono

zapałem cerowano ciszę domu
słowami pacierzem tą rozmową
gwiazdę samotną w pół przecięto
na złość jej samej radości naszej
teraz z siostrzaną drugą połową
osobno oświetlają zimne izby mroku

pies z rozpaczy nie skomlił lecz wył
biedak nie wiedział o tym że do sumień
ludzkich wchodzi się klęcząc to najzwyczajniejsza
dialektyka psiego błędu

pielgrzym jakoś sobie radził przykryty
zgrzebną chmurą zmęczony zasnął

wołałem o miłość wódki garniec dobroć
lecz posadzili mnie wśród skał obojętności
na pustkowiu ziemi byłem
niczym Prometeusz zebrząc
o rychłą śmierć



Ziemia strudzona

co mi zesłałeś mój starcze
obłoki rozrzucone po katedr niebiosach
co przeżyję abym nieść mógł z nadzieją
w świata zagony serca porywem
kiedy dusza nie płonie jak niegdyś
lecz gaśnie strudzona

gdy świt rozpina białą sieć nas nami
gdzie skrywasz tajemne grona moich tęsknot
kłęski falami przynosisz jak zimowe chłody
które w oczach stroskanych niosę

jak ślad zostawię na drogach trudu blasku lata
w dali którą kołysz wiatru ogień pieśń świata unosi
gdzie radość rodzi nadzieję serce mi otwiera
dla ciebie śpiewam hymn miłości i rozpaczy
światu z pokorą frazy serdeczne niosę

połużnij więzi opasz mnie pięknem
o nic dziś nie proszę kołysz mnie rozkoszą
nocą w sny cudne prowadź nie dręcz więcej
przed oblicze świata poniosę majestat twój
skrzydłami dni które w duszy czule brzmią

z chwały twojej skradnę płomienie
nimi otworzę każdy dzień

na piękno rodzą się płodne deszcze
w czasie który porywa mnie w tajemnicze dale
niczym Spartanina z murów wielkiej Troi
cel wzniosły uświęć podziękuję gorąco
życiem moim spełnionym w połowie



III nagroda

Anna Piliszewska

Czarnolas

To ta chwila, gdy jeszcze nic się nie zdarzyło.
W czarnej kropli inkaustu nie czają się *Treny*.
Lipy szumią. Zza okna granatowej sceny
zerka księżyc, co wieszczy dobry czas i miłość.

Psy się łaszczą do kolan, kapie wosk, knot syczy.
Anioł usiadł w gałęziach – deszczowe ma skrzydła;
na z koralu jarzębin czerwonych liczydłach
czułość zwiewną jak mgiełka mokrym palcem liczy.

Już w kominku polano płomień z trzaskiem liże.
Gdzieś daleko ktoś krzyknął – echo głosy niesie.
Wieczór w mokrej kapocie chyłkiem w Czarnolesie
cienie roślin wydłuża – i kładą się krzyżem.

Dzieci ojcu ciekawie zerkają przez ramię,
niecierpliwe, że znowu coś w skupieniu pisze.
Pióro skrzypi i płoszy senną, płową ciszę.
Noc gęstnieje jak woda, którą mąci kamień.

Jutro nowy dzień wszędzie i w lusterkach kałuż
złota ważka się przejrzy. Znów zabrzęczą trzmiele,
pszczoły miód będą zbierać pilniej i weselej –
radość stanie się bliska jak koszula ciała.

Bogu tylko wiadome są losów przyczyny.
Póki co, wiatry wieją nad dworem łaskawe,
złote jabłko ukradkiem spada w kośną trawę.
To ta chwila, co jeszcze nie zna złej godziny...



Kochanowski, iter romano

Dokąd, losie, prowadzisz, gdy zostawiam za sobą
sen, gdzie wiatr chwieje łąką, gdzie wieczory
z kaganka majowego księżycy srebrami są ozdobione,
gdzie maciejka i szałwia, gdzie jabłkowite
konie znają drogę do dworu?

Pewno już pierwsza jaskółka skleciła gliniane gniazdo
pod drewnianą stodołą, a ja tego nie widzę, choć czuć
wiosnę i coraz krótsze są chłodne noce.

W ciżbie ludzi, w dudnieniu spiżowych, dostojnych
dzwonów, w barokowym przepychu, gdy na Piazza Navona
śpiewnie ciurka fontanna, szukam kurzu tej drogi, która pachnie
znajomo.

I sień widzę, i sprzęty, drzwi matczynej alkowy... Kołysze mnie
śpiewne tętno. A za oknami Wieczne Miasto błyszczy i skrzy się,
pewne własnej świetności, z renesansową zadumą.

Olbrzymie cierpliwe drzewo czulej tęsknoty – śni się
wicher – swawolnik: rozhuśtane gałęzie
wszystkich słowiańskich sadów szumią, szumią
i szumią...



Fraszka, lutnia i wino

Carpe diem! Lutni moja – zaśpiewaj! Niech usłyszy cię lipa,
Która, jak dwórka wachlarz, gałąź swą rozpościera.
Usiądź, bracie, pospołu – miast tykania zegara
fraszki wdzięcznej posłuchaj – właśnie tu, właśnie teraz!

Carpe diem! Przyszła pora wers mój myślą ogarnąć,
jak obejmuje świeca ciemność świetlistym kręgiem.
Jeszcze nie prószy cisza próchnem w całun wieczności,
choć psy wyją w opłotkach, a noc czarna jak węgiel...

Carpe diem! Z dzbana ciurkiem młode cedzi się wino –
niechaj brzęczą puchary horacjańską nutę.
Rozchmurzże marsowe czoło! Wnet się zrobi wesoło –
na frasunek wszak trunek, a fraszka dobra na smutek!

Carpe diem! Płomyk skacze, a rym duszę ogrzewa.
Światek świeci, czy próchno w zwałonym wichurą drzewie?
Wichrolotny Pegasus wdzięcznych skrzydeł użyzcha.
Skarby, zaszczyty – marność! Co jutro – dziś tego nie wiesz.

Carpe diem! Listkiem lipy, nie gałązką wawrzynu, dziś ustroję
swą głowę, zanim noc najczarniejsza, cieni ponury pochód.
Carpe diem! Nie powtarzaj, że próżno stroję swoją lutnię, nie mów,
że po nas tylko miałki piasek milczenia, krążenie prochów...



Nagroda specjalna

Grzegorz Matyja

Między początkiem a końcem...

Między początkiem i końcem jest miejsce dla wszystkich
przestrzeń pomiędzy pierwszym krzykiem i milczeniem
nam przeznaczona razem z nami trwa
wypełniamy ją sobą do ostatniej kropli

od początku do końca wyłuskując dni
spoglądamy na siebie chcąc wiedzieć dlaczego
nie wszystko jest nam dane zobaczyć i przeżyć
dzień pierwszy i ostatni wyznacza granice

widocznie taki jest porządek rzeczy
a jednak buntujemy się mając świadomość
że nic nie da się zrobić w kwestii ostatecznej

między początkiem i końcem jest miejsce dla wszystkich
którzy byli przed nami, są i będą po nas
między początkiem i końcem jest wszystko o czym wiemy.



To wszystko po to...

To wszystko po to
by swoją obecność zaznaczyć
krzykiem od świtu po zmierzch
zaistnieć

słowem zostawić ślad
w pamięci obecnych
pozostać
na zawsze na teraz

robić cokolwiek
bądź tylko być
by oszukać śmierć
by odczekać życie
po to to wszystko.

Jeszcze jestem

A miałem odejść
jako jeden z pierwszych
słyszałem jak szeptano o tym
unikając spojrzeń w moją stronę

a jednak to moi bliscy
opuszczali mnie ukradkiem
jeden po drugim

o tym że jestem
stale mi przypomina
obecność osób trzecich
zaskoczonych moim widokiem.



Wyróżnienie

Adam Bolesław Wierzbicki

Kolejność

Zaczełaś od porządków i odnowienia mojego pokoju. Zawiesiłaś nowe zasłony, zmieniłaś narzutę na mym starym tapczanie, a następnie wybrałaś pulsujący optymizmem kolor ścian.

Później nauczyłaś mnie pić wódkę, choć w tym temacie byłaś czystym teoretykiem, a potem starannie zweryfikowałaś moich kolegów i bliskie mi osoby.

Następnie podsuwałaś książki do czytania na trzeźwe wieczory, i propozycje filmów na które wspólnie zaczęliśmy uczęszczać na seanse DKF w studyjnym kinie Pionier.

A potem sprawiłaś, że wróciłem do młodzieńczych pasji, które odstawiłem na boczny tor wiele lat temu, a które ponownie zaczęły sprawiać mi radość.

Jednak dopiero wspólnie przyrządzane posiłki, które z namaszczeniem spożywaliśmy, sprawiły, że zrozumiałem, że bez ciebie nie mogę żyć.

Gdy nie ma ciebie na wyciągnięcie ręki, nawet kawior popijany szampanem, ma dla mnie smak trawy, wodą z kałuży zapijanej.



Zanurzeni w lato

Tego upalnego lata zanurzyliśmy się w siebie za pomocą wszystkich zmysłów. Słuchaliśmy swoich przyśpieszonych oddechów, które zagłuszały bicie serc i ciszę poprzedzającą przynoszącą ulgę

letnią burzą. Zachwycaliśmy się naturalnością wolnych od ograniczników i pomalowanych słońcem naszych ciał. To sprawiło, że nasz wzrok mógł wreszcie raz na zawsze odstawić do kąta

niepotrzebną nikomu wyobraźnię. Na swych ciałach rozcieraliśmy dłońmi krople rozkosznej i kojącej choć ciepłej wilgoci. Słony smak potu na naszych

językach uświadamiał nam jak to być solą tej ziemi. Mimo ciągłego wymieniania się zapachami ty nie pachniałaś mną ja nie pachniałem tobą. Pachnieliśmy

po prostu sobą. (w liczbie podwójnej). Zanurzeni w siebie leżąc na starej, mało wygodnej i zbyt wąskiej mieszalni zmysłów.



Przeznaczenie

Bóg postawił cię na mej drodze bym o majowym brzasku mógł radować się świergotem ptaków, pomimo doganiającego mnie potężnego kaca.

Bóg postawił cię na mej drodze byś mogła mnie nauczyć rozpijać na trzy razy butelkę białego chilijskiego wina.

Bóg postawił cię na mej drodze bym wreszcie mógł zaznać ukojenia, po zbyt długim długodystansowym biegu zasłuchany w ciszę zagłuszaną jedynie oddechem twojego snu

Bóg postawił cię na mej drodze byś poskładała w całość fragmenty pokierszowanej przez życie skorupy mojego jestestwa.

Bóg postawił cię na mej drodze bym miał wreszcie kogo chronić przed całym złem tego świata. Zanim się to jednak stało, ty musiałaś ochronić mnie przed samym sobą.



Wyróżnienie II stopnia

Bartosz Konstrat

Po śmierci naszych dłoni nie wypełni pustka

Po śmierci naszych dłoni nie wypełni pustka, lecz niewidoczny ciężar wspomnień, wszystkich dni skąpanych słońcem, nocy uginających się od czerni. Po śmierci poznamy wreszcie smak przeznaczenia, nieco cierpki jak niedojrzały agrest, a może

przesłodzony jak ciasto babki. Lecz czy to w sumie nie bez znaczenia, skoro będziemy mieli za sobą już wszystko, co najważniejsze, to zdradliwe życie, na które ciągle narzekaliśmy, ale za którym przez całą wieczność będziemy tęsknić? Po śmierci

nasze serca rozpadną się na maleńkie atomy, a w każdym z nich będzie błysk naszych oczu, drżenie dłoni, widok otwartych ze zdziwienia ust. Po naszej śmierci w dziwnym ogrodzie wyrosną tysiące kwiatów, ich zapach będzie się niósł kilometrami w przejrzystym powietrzu.



Nogi wiatraków w morzu

Nogi wiatraków w morzu, trochę groźne, ale w sumie industrialnie piękne, powolne obroty ich stalowych skrzydeł wywołują dziwną tęsknotę, myśli o nieokreślonej przyszłości. Jest chłodno, arkusze szarych chmur niemal nakładają się na równie szarą taflę

wody. Wilgotny i zimny piasek przypomina dłoniom o nadchodzącej zimie. Teraz przyjeżdżają tu tylko tacy jak ja, rozczarowani życiem samotnicy, którzy udają przed samymi sobą, że palenie papierosów sprawia im jeszcze jakąkolwiek radość, że potrafią znaleźć

w sobie zaskoczenie smakiem świeżo złowionej ryby, muśnięciem morskiego wiatru na policzku. Ale chyba przyjeżdżamy tu głównie, żeby powąchać śmierć, jej czerstwy zapach wydobywa się niewątpliwie z morskiego dna. Przyjeżdżamy tu głównie, żeby zastygnąć jak

wypalona glina, nabrać szorstkiej hardości, która pozwoli nam przetrwać koniec.

Po skończonej miłości

Po skończonej miłości została sama, jak samemu zostaje się po posiłku zjedzonym naprędce, w drodze skądś dokądś. Została sama i przed długie lata nie potrafiła przekuć zdziwienia choćby w przywiązanie, w namiastkę przyjaźni. Ani zwierząt, ani

ludzi, a przedmioty też rzadko, co najwyżej jakiś książkowy bestseller lub skromna, tania broszka. Zamieszkała w zdziwieniu jak w szklanej kuli, której nie da się rozbić, a poza tym szkoda. W lustrze ciągle widziała jego usta odbite w swoich, w nocy budziło ją

ciepło jego oddechu na karku, oddechu sprzed tylu lat. Zanurzała dłoń w sadzawce w parku i wyobrażała sobie, że pod powierzchnią wody istnieje odbicie całego świata, doskonalsze i czyste, odporne na działanie czasu. Po skończonej miłości każda sala weselna

zamienia się w rzeźnię, a soczyste owoce smakują jak zepsute mięso.



I nagroda

Anna Piliszewska

Pszeniczny czas

Zboża wstały, wiatr zachodny wieje...

J. Kochanowski, *Pieśń II, Księgi pierwsze*

Zazłoci się w starych spichrzach – pszeniczny łan zaszeleścił,
światło nurkuje w snopach. Dmuchnij
w roztarty kłos!

Chropawa dłoń kosiarza pieści ostrze oselką.
Wnet rozskrzypią się młyny – jak rozeschnięte krokwie
lub sękate ramiona spēkanych, przydrożnych krzyży.

Kobiety pomyślą mąkę, dzieci słodki kęs ciasta. Pozwól, Boże,
pochwycić łaskawy los! – przywiązać
do wrót, framug, kalenic wążłą nitką

powietrza. Przyszpilić ćwiekami wersów
nagrzaną, kapiącą sokiem, lepłą, senną sierść dnia.
Być może maleńkie ziarna są jak słowa,

kreślone w rozbręczane pszczołami, miodne
ciepłe południe, a korzec zboża – jak pieśń, a sporysz
niczym niechciana, ciemna plama inkaustu, która wsiąka

w pergamin. Janie!, zasiądź pod lipą – zamykaj w spizarni wersów
sen: czarnoleskie piękno – zapisuj pszeniczny czas
najłocistszymi strofami...

Pszczoły

Córko, to jest pergamin, tam inkaust i pióra.
Tu bibuła, co kleksy wypija łąpczywie.
A ta ziemia – to Muza, szepcząca mi co dnia,
Bym siała pieśni jak siewca – na lirycznej niwie.

Spójrz w te księgi, sprószone makiem skośnych liter –
W nich śpią wszystkie melodie, jakie gra ma lutnia.
Każda inna – a wszystkie z Kaliope rozkazu
W strof i wersów porządku – wesola czy smutna.

Tam, gdzie lipa rozkłada gałęzi baldachim,
Cień gałęzi wskazuje Parnasu podnóże.
Kiedy pod wiernym drzewem układam kałamarz,
Wnet uśmiecha się do mnie Bóg, który jest w górze.

On, jak nikt – doskonały!, jest Pierwszym Poetą,
On dał łaskę pisania, córeczko, więc piszę.
Gdy mi w księgi zagląda, zerkać Mu nie wzbraniam
I gołębiom, i świerszczom nakazuję ciszę.

Odgaduję: odczytał. W nieb skłębione dale
Czas Mu frunąć na skrzydłach. Pobrzękują pszczoły –
Chwytam pióro. I piszę, zyskując niepewność
Czy to tylko owady, czy złote anioły...



Przecucia matki. Pożegnanie Orszuli

Ze wszystkich snów wybieram sen o martwym łabędziu.
Mężu, przymierz mój sen,
niech oboje szlochamy nad utratą. Utratą ...

To bolesne przecucia - zdaje mi się, że słyszę
śmierć wieszczący wiatr w drzewach...
Chłód przenika na przestrzał.

W sieni tchnienia z zaświatów.
Brodzisz w trawie, gdzie łopuch i gdzie lipa
przekwita. Twoja lutnia dygota, gdy krzyżują się cienie.

Spoglądamy w odległą, zimną tarczę księżycy
przywiązani do siebie wątlą
wstążką powietrza.

Kiedy pocieszasz - wierzę. Ale jeśli odejdzie,
raj niech będzie jej czułą
czarnoleską kolebką - bezpiecznym śnieniem...



II nagroda

Andrzej Ziobrowski

cierpienia Vincenta

pijany słońcem Vincent
odkrywa nowy odcień żółci
z oczami pełnymi łez
dziękuje Bogu
za ten delikatny ciepły ptasi kolor
który do niedawna był tylko marzeniem
teraz otrzymał go w darze
z głębią rzuconą przez intensywne światło
kwitnącej Prowansji

jego słoneczniki teraz płoną
są dowodem iż warto było mierzyć się z udręką szaleństwem
które zesłał mu los

ten słoneczny dzień
zapisze się w annałach malarstwa
trwale na zawsze
ale o tym Vincent jeszcze nie wie
gdy idzie wiejską polną drogą
ze sztalugą pełną słońca
oceanem falujących maków

właściwie to pragnie siebie wyrazić
w formie pełniejszej bardziej wyrafinowanej
niżli obrazy Moneta z którym spędził
niejedną chwilę zanim rozeszły się ich drogi

z obłąkanych oczu trawionych gorączką
doszedł szarpiący ból głowy co dzień
intensywniej się wzmaga



Noe

na przekór podszeptom
Noe nieubłaganie ściga się z czasem
a zostało mu go niewiele
z czego doskonale zdaje sobie sprawę

z wiedzą godną mędrca
podejmuje to wyzwanie
mierzy się z tym co nieuniknione
z samym sobą

nawet jego trzech synowie
z wytrwałością godną podziwu
pomagają strudzonemu ojcu

zmęczony
w świetle rzuconym przez łojowe pochodnie
ledwie rozpoznaje twarze
ale słuch go nie zawodzi dzięki Bogu
rytm budowy łodzi zadziwia wszystkich
nawet jego zagorzałych wrogów

pasterze z pobliskich gór
z podziwem i zachwytem drżącymi
rękami gładzą żebrowania smołowanej Arki



rabaty i róże

nie w morskiej pianie
moją rozpacz horyzont ugniata
niesie lot jaskółki trzaśnięcie
z bata to do nas echem sunie po
świata placach smutnych w duszy
dźwigam w skrzydłach lichych

może słowo każde rozlać
od Troi po Aleksandrię wieść będą
świata burze usta białe całować codziennie
ostrzyć na bezimiennej górze w krainie wiatrów
w czułość zakłętę wargi kochanków

tam stoją domy obszerne
bram wiele otwierają świtu podwoje
dziedzinić konie kopytami wyklepują
co było przeszło terażniejszością się nie stanie
tu pani w ogrodzie przycina róże

w czas każdej zawieruchy
piki kiedyś na sztorc stawiano
gdy z Aleksandrii ciągnęły posiłki
ziemię deptaną szalone wiatry rozkołyszą
burze nieść będą od drzwi
do drzwi ci sami

choćby sto świec pamięcią płonęło
najsroźsze mrozy zsyłało niebo
słowo które z ust pani wybiegło
w ogrodzie świata umrze
rabaty róże zostaną



III nagroda

Bogdan Nowicki

Pieśni

Na śnieżnym obrusie plamy miodu.
Słońce nagrzało kryształowe szklanice.
Buczy pszczoła w wiklinowym koszyku
z zaschniętymi ziołami.

Wypukła łyżka na wklęsłym talerzyku
wsysa kroplę śmietany. Pajęczek wspina się
po spękanej framudze.

Szpakowaty Jan śpi na wyściełanym fotelu
okryty włochatym kocem. Pod jego nogami
tymianek wybujal i zżółkł, wyrzucając na deski
podłogi mydlasty wianek piany.

W przyciemnionym kotarami salonie, Urszula
bawi się w chowanego z obłokami.

Szpakowaty Jan budzi się, oszklone drzwi
prowadzą z werandy do biblioteki, gdzie
na suficie igrają liściaste cienie, a w ciszę
wdziera się świergot ptaków.

Wstaje, moczy kawałek ciasta w miodzie,
zabiera rękopis „Pieśni”. Odwraca głowę:
delektuje się blaskiem kwitnącej lipy
i milionem szeleszczących płatków.



Ostatni tren

Chromy anioł zwiniętą krawędzią skrzydła
zanurza się w pooraną twarz Jana.

Klepsydra pękła w głębokim kącie,
jest tylko ziarnko przy ziarnku, i ropucha
na glinianym dzbanie, z którego wino
ciurka.

Pod ławą parcieją jabłka. Leży też wolumin
Horacjańskich „Carmen” ze stearyną na
twardych okładkach.

Za oknem posiwała lipa, w szarych bandażach
mgły, nie ma już wiary szeleścić ani śnić.
Wozy zjeżdżają puste, na polu pozostaje
niesprzątnięty stóg siana.

Świeca migoce, gasnący płomyk pogłaskał
rękę Jana, z której wypadło pióro,
z trzaskiem łamanych słów.

Wymóg

Żeby napisać wiersz trzeba być atletą,
co najmniej takim jak Syzyf, który na górę
wpychał kamienną kulę, po każdym kroku
robiąc pauzę na grymas bólu wokół ust.

Albo szlifierzem soczewek takim jak Spinoza,
rozmawiającym na migi z duchem niewidzialnej
natury, który siłą woli wtapiał skończone
ego w nieskończony przedmiot.

Albo, strącającym popiół z długowłosej Muzy,
Janem z Czarnolasu, w którego rękopisach,
pomiędzy literą a myślą, słyhać szuranie
postrzępionej nitki losu.



Wyróżnienie

Janusz Pyziński

Pamiętam

niech rozrosną się rany w stygmaty, i zapachy w ściernie.
samotność w kość słoniową. ogród sierpniowy w nasze dziecko.
trzeba tylko z dziesięciopalczastych rozmów z Bogiem wysupłać sens.
z trzepotu rzęs kolor strachu w szczekaniu psa. z okruców tego,
co już było, zlepiać przyszłość w świat czterolistnej koniczyny.
skleić skorupy w dzban, najdoskonalej z wysokości płotu spijający pamięć.

pamiętam, jak w najmniejsze perskie dywany rżysk pszenicznych pól
zagrzebywałem bosc stopy, kręcąc powróśło na każdy cios
tańczącej w rękach ojca kosy, schylonej matki twardy grzbiet
ze ściany zboża zbierający pokos – wiązane w snopy szczęście.
pamiętam każdy tamten snop, jak najpiękniejszą przytulankę,
znoszoną z pola, stawianą w stóg, na przełaj ze słońcem.

a potem drabiniasty wóz,
w horyzontalnej sforze chmur pospieszne rzenie koni,
goniące pod stodołę w bezpieczny strzechy czas.

dziadek ze schowka wyciągał cep, przetrzącał kręgosłupy kłosom.
pachnący słomą i myszami wiatr, jak dobry pan, oddzielał plewy od ziarna.
i wnet wyrwane z letargu do tańca ruszały kamienie. najpiękniejszą pieśń,
pod twardą batutą rąk ojca śpiewały żarna, a mąka jak za oknem śnieg
wpadała do kuchni zacierką. pęczniała dzieża, płonący piec czekał na chleb,
czekał stół na miód i mleko.

pamiętam zapach plastra miodu, niebo otumanione macierzanką,
i tęsknotę progu za wieczorem i świtem. biały ornat brzozy pośród pól,
pod rozmodlonym areałem skowronka. małwy wchodzące do domu przez okna,
by popatrzeć na zmartwioną twarz Chrystusa nad łóżkiem.

droga przechyli się wieczorem, w spękana korę blizny. do ran przytulą się dłonie.
zaboli w wątłym krzyżu ramion, gdy aureola, niczym żniwny sierp, zawisnie
nad koroną. znów umrze przetrącony kłos, wysypią się ziarna na ściernie.
poczeka na niebieskie ptaki deszcz. może coś zostanie.



Tu i tam

kładą się cieniem gałęzie na ziemię, załamało się krzywe niebo wierzb.
świeżo zaorany zagon obudził nadzieję na ziarno, znowu umarł kłos.

niech będzie pochwalona cisza, ta z którą wdycham zapach ziaren nieba,
i widzę Wielki Wóz, ciągnący w nieznaną podróż korowód gwiazdznego
[różańca.

jak nirwana, noc do dnia znów pisze komentarz. próg – adwokat domu,
stał się mniej wybredny, od kiedy próchno strychu sypie mu po oczach.

tu się rodziłem umierając ziarnem, na skibie ciemnej niczym bochen chleba.
tasowałem czas, jak szczęśliwą talię malw, wróżących pod płotem szczęśliwą
[pogodę.

tu Bóg zbudował sobie najpiękniejszy kościół, pośród przyjaciół co nigdy nie
[zdradzą,
wśród spraw codziennych przedzielonych miedzą, szczęściem śpiewających
[wieczorów
i świtów. na twoim ziemio, boskim łonie, gwiazdy układam, i czasu przestrzenie.
na kłęczkach dźwigam chylący się kosmos, i na kłączniku ściernisk do ciebie
[się modłę.

błogosławiona bądź ciszo przedwieczorna, zanurzona w jeziora, i sady, i chaty.
usypiająca przedwczesne zmartwienia we łzach zmartwychwstającej rosy,
gdy księżyc w kucki zmęczony przysiadzie na strzechach.

błogosławiony bądź krzyku ptaka, jak wodę ze studni niosący nowy świt,
otwierający twoje święte karty skib, na których ojciec, niczym obrus matka,
ziarno do ziarna równym rzędem kładzie.

świadkiem mu Chrystus Frasobliwy, jak przydrożne drzewo zamknięty
w rozstaju podobieństw, gdzie stare studnie rozdają sakrament pokuty
za ogień wygasły w kuźni, stojącej jeszcze nieopodal.

stąd kwiaty wyfruną znowu, na barwach motyli skrzydeł. malwy strzegące
[domu

rozpalą ogniska dzieciństwa. i bosc stopy na rżyskach zmacą spokój mgieł.
gdy białe płatki rumianów, podobne klawiszom fortepianu, wygrają pieśń
zgubioną na rozstaju, i polski różaniec przed wioski obliczem przywróca
jak smak świeżych malin, wyrosłych na gruzach śródpolnej katedry,
nad którą tli się jeszcze wieczna lampka gwiazdy.



zostawiłem tam wszystkie swoje kolorowe szkiełka rozpięchłych witraży.
mógłbym tu zamieszkać. zapamiętać, zapisać na wszelki wypadek, gdy stanę
przed sobą, między Bogiem a ludźmi, w ciszy nie uległej krzykom zaciśniętych
pięści. nauczyć się na pamięć imion ziół, które jak belki drewnianego domu
pachną czymś niezwykłym, nienazwanym wprost. są niczym most
do tamtych chwil, których nie ma na żadnym zegarze.

schowałem w tych miejscach wszystkie wygaszone słońca, i splecione dłonie
jasnych źródeł ciepła. symbolikę dotyku. rany, które należy przewyciężyć,
żeby móc opowiadać o wydeptywaniu ścieżki w nieznanym, różanym ogrodzie.
i milczeć o zbieraniu cierni. wpisany w drewno, jak Chrystus umierać,
za każdego z nas, osobno, dzień po dniu, aż umilknie werbel ziemi
sypanej na ostatni kopiec.

Modlitwo moja

modlitwo moja przedporanna, nie ta. której mnie matka uczyła,
nie ta z książeczki do obrazka, nie ta z klęczników anioła
modlitwo moja z ptakiem wniebowzięta, i wracająca paciorkami rosy.
jak ciebie nazwać, gdy gwiazdami świecisz, niby wiecznymi lampkami
przed ołtarzem nocy, kiedy świat zasypia w kadzidle maciejki,
i z której się wybudza w dzwonieniu konwalii.

płynąca z tęsknotą od klamki do klamki, napawając się Twoim widokiem
jak rzeka brzegami, kiedy światło wysycha na barwach pejzażu,
gdy ciemna madonna ponagla spóźnionych pątników do bramy Edenu.

modłę się z najmniejszym nawet kwiatkiem polnym, który mi najlepszym
jest nauczycielem pokory cierpliwości we wrastaniu w skałę. modłę się w ciszy
odwiecznie milczących kamieni, znających siłę milczenia i ciszę siły kosmosu.

jak cię rozumieć pośród mowy zwierząt, i jak odnaleźć w padającym śniegu?
ukrytą w zasuszonych ziarnach późniwego wieńca, najpiękniejszymi słowami
polnego różańca, z upuszczonej przez skowronka struny, dźwigającej ciężar
sacrum i profanum prawdy niebiańskości ziemi.



jak cię umieć słuchać pod amboną lasów, z której najmocniej Bóg przemawia,
[kiedy
świt myje zaspane oczy, bez słów niepotrzebnych i gestów przemocy w krzyku
upadków i echu podniesień, pijących z pszczołami nektar z kielichów gorzkości.

modlitwo moja. przed i podeszczowa, z horyzontu tęczy, za którą
Pan oblicze swe schował w panoramie słońca nad wieżą kościoła.

w środku tego świata obcy świat się zatrzymał
brudną kroplą po szybie spływa
jak cząstka czasu co już minął
ktoś się stąd wybrał w daleką podróż
z lampą księżycy i brzoźowym kijem
polami błędzi bezzębny zgryz

słabiutkim szumem kołęduje las
na próżno dukty w radość wiąże
na zapomnianym progu samotny siedzi Bóg
jak naga zgarbiona prawda



Wyróżnienie

Edyta Wysocka

Górskie witraże

*Rzuć z Tatr, Polaku, w lewe twoje oko
Na pola bydeł pełne, skąd szeroko
Draw i Saw płyną...*

M.K.S.

O świcie dotykać miejsc
Gdzie budzą się odgłosy
Ziemięskiego belcanta
Delikatnie na palcach
By nie spłoszyć rytmu
Porannej dyrygentury przyrody
Wtapiać się w sine mgły
W błękitny rozłożystych jeziorzysk
W rwące nurty rzek
W przestrzeń dziką wolną i czystą
Która rozległym łukiem faluje
W takt migotliwej luminescencji zórz

Tam ścieżki pachną i kuszą
Obnoszą się urodą kojącej pieśni
To szlaki życia
Raz z górki raz w górkę
Poprzez horyzont orszaków drzew
I dalej łąkami kotlinami chruśniakami
Po najciemniejsze gęstwiny zadumy

Poranne zmartwychwstania
Naszej Krainy
Są jak ziemskie sakramenty żywota
Modlitwa hymn i zadziwienie
Gdzie wszystko się powtarza
Mądre biologicznie
Od prawieków



Zaduma

*Chodź, pójdziemy do lasu,
oprowadzę cię po zaułkach duszy.*

Jest wcześniej
Jeszcze bez zawilców
Matowość i wyczekiwanie
Zagajnik skulony
Zimową słabością
Od czasu do czasu kosmyk słońca
Trzmiel w pomyłce ciężko
Zagubiona mrówka z osobna
Tylko ptaki już śpiewne
I taka od nich przestrzeń
Wiosna odkształci
Oddali szaroburość
Jeszcze można w głąb
Póki z tej suchości
Nie wypełzną gady
Promyki zwodzą
Lekko odsłaniają szczyty
Słońce jest jak życie
Wschodzi zachodzi
W tym odcieniu szpaler brzoź
Nabiera barw srebra
Będzie inspiracja
Więcej natchnienia
Lecz póki co szkielety traw
Badyle żdźbła
Rzeczy są zaraz ich nie ma
Teraz wszędzie cicho
Zeszłoroczna śmierć wietrzeje
...O! jednak coś wyłazi!
Grzybki o białych łebkach!



Wiosenne przebudzenie

Jeżeli zechcę,
przebrnę przez zarośla,
przeniknę mury i ostre kamienie,
ominę wrzaski spłoszonych kruków,
gdzie groźne chaszczce i trolle kosmate.
Pokonam strychy w zatrutych ziół zwisach,
i pajęczyny upiorne z nietoperzami w dół.

Jeżeli zechcę,
to dawnym pamiętaniem
otworzę wszystkie pory mojego Edenu.
Rozjaśnię dni, co jak w mrocznej topieli,
pod grubym cieniem legły.
Przybiegnę dziewczyną, która się rumieni,
prosto tam, gdzie nietknięty świat.
Przeliczę kropki leśnym bożym krówkom,
a w srebro włosów wplotę niezapominajki.

Jeżeli zechcę,
to bosymi stopami do tej wody,
gdzie tataraki i lilie od śniegu bielsze.
I na ścieżki, gdzie patykiem na piasku
nasze imiona, i pocałunki pierwsze, leśne.
Tam, gdzie las w dawnej szacie czeka,
w koncertach słonek, trzciniaków
i szarych słowików.
Gdzie wczesnym świtem
harmonie rzekotek i brunatnych kosów
budzą wtulone w trzciny oczeretów
ciche strumieniówki.
Gdzie klangor żurawi
radosnym krzykiem obwieszcza brzask.

Tam powrócę, w nieskazitelność.
I nie przeszkodzi mi nic.



I nagroda

Anna Piliszewska

Czarnoleski gmerk

Nocą Bóg znów przefruwał nad lipą - wiatr o tym świszczce i szumi. Bóg ma kręconą brodę i nie zostawia śladów ale Jego obecność zwabia ciżbę motyli i ciekawskich wiewiórek: krzak leszczyny rudzieje niczym krzew gorejący od skaczących płomieni. Słysząc chichoty Muz, pisk dziewcząt, poszczekiwania,

zapach sierści się chwieje na dźwigarach powietrza. W dziuplach, porodziawianych jakby jadły sierść lata, wątleją drobiny próchna. Ptaki zdziobują słoneczne nitki, błyskające się w wierszach – to *sitta europaea*, kowaliki noszące na grzbietach okruszki nieba – Bóg je kiedyś ozdobił: prysnął w piórka błękitem i odtąd tną

nożycami roztrzepotanych skrzydeł gładź czarnoleskich pól, za którą drga nieskończoność na podniebnych sprężynach. W enklawie czarnego lasu wielka jest liczba roślin i wielka jest liczba zwierząt – ich ilość jest Liczbą

Pi, ciągnącą się za widnokres. I bezkresną jest cisza, nakłuta

dziobem łabędzia. Chwieją się strzępy wełny wytarganej z obłoków, gdzieś przeciągły zew wilczy. W zrzuconych widłach poroży pająk tka feretrony. Lipa przywabia pszczoły, trzeszczą liści skrzypidła: gościu wstąp!, niech cię wita guz na złuszczonej korze – czarnoleskiego dworu brunatny gmerk...

Kołysanka dla Orszuli

W nikłych drzeniach łożówki ćma się ślania, już ciemność
sprzętów kształty obraca w smugi ciekłych granatów – śpij!,
bo złoty jak denar i pękaty jak dynia, w pelerynie
z poświaty miesiąc po niebie chodzi – błyska w kropkach

inkaustu. Skrzypi pióro cierpliwie, Bóg wygląda pergamin:
myśl łagodnie we fraszki strofę się przyobleka, wiatr z
listeczkiem lipowym wers przylepił na sercu, stanął zmęczony
zegar, kocur łowi jak rybę ślaniające się cienie –

Anioł czuwa, ty śpij! Na czarnoleskich łąkach z wielki koszem
z wikliny wędruje stara zielarka – będzie zbierać na susz
garście kozłka, belladonn, dziewann żółte lodygi, młode pędy
koniczyn. Ptaszor na jej ramieniu skrzydłem strąca wisiory

z pajęczej dziergane śliny – to stara sowa Minerwy, przyfrunie
gdy ją zawołać – ale ty, córko, śpij! Niech ci się wyśni
drzewo stojące w tiarze słonecznej, śmiech, szczekanie ogarów,
ucieszne zabawy z siostrą, ręka matki gładząca twych policzków

aksamit i mój wawrzyn, i lutnia. Niedźwiednicy w śnie
przyjdą, aby ciebie zabawiać – bury niedźwiedź podskoczy,
wstrząśnie kudłów zamiecią – spadnie gwiazda nadziei, z nieba
księżyc się sturla i u stóp twych zamruga – czule będzie się żarzył,

świerszcz ukryty w kominie kołysankę ci wygra, kiedy ja
będę pisał – nie, nie tren!; jeszcze sieje się miodna, dobrotliwa
godzina, jeszcze nie rąbią polan, z których czarne
popioły sproszą myśli i skronie. Jeszcze w myślach nić światła,

choć w obłokach niepokój – ale ty mocno śpij...



Magdalenka Śródpolna

Bóg słowa w usta poetom wkłada – po grafitowym niebie samolot jak żywy robak pełza, gąsienica z metalu. Noc się sroży w łopuchach, w żółtej kępie nagietek, w szalu z kudłatej wełny...

Bóg słowa w usta poetom... – musiała gdzieś to usłyszeć, może w szkółce niedzielnej, może jej to powiedział organista, ten pijus, a może i sama znalazła w jakiejś książce – czytata jest i pisata!

Bóg słowa w usta... – dlatego nie żałowała ni jednego ze słów roztrwonionych w koniczu, w bzach, w zagonach rzepaku, choć teraz grzmot, łez ulewa. Śpi dzieciątko pod sercem.

Bóg słowa w... rosę obraca, w szron, w cynowy ornament. Matka, ojciec obili kijem, pasem, powrółem – i ... przebaczyli, bosą i rozszlochaną przytulili do piersi. Brat wystrugał kołyskę.

Bóg, słowa... A teraz biegnij, dziewczyno!, warkoczami-skrzydłami czas nie próbuj zawracać, kapliczce w czerwonym mchu ukoń się czystą myślą, idź cierpliwie – a dźwigaj życie jak świętą perłę.

Bóg obsypał ci włosy jarzębiną i deszczem. Odtąd słowa ci będą malwą a nie kamieniem, balsamem dla chorej duszy, mleczną smugą, piskłębem – Anioł szyje pieluszki w światłoczułym powietrzu...



II nagroda

Janusz Pyziński

Chciałbym

rozmawiam z duchem ojca o barwie ziemi, zapętlonej
w nieprzekładalny język horyzontu. wylawiamy smak gruszek
z dzieciństwa i pstrągi z wyschniętej rzeki. nasze żebra uginają się
pod ciężarem słońca, nasze myśli przy dzieciach układanych do snu,
jak kwiaty w świętojańskich wiankach.

siano z moich dłoni zstępuje pod obrus, opłatek złamany, jak słowo
dane mu kiedyś. a przecież tak bardzo chciał, by wszystko zostało
jak dawniej. co mam mu odpowiedzieć? – dojrzała pierś do przebiccia,
kości do zrośnięcia. narasta we mnie deszcz do przerwania tamy.
potrzeba bliskości jednoczy wszystkie chłody w cierpliwą modlitwę świecy.
wtłacza w krwioobieg ostatni oddech, wracający do swego początku.

stoję pod drzwiami jak nad trumną, cisza skanuje twarze zaplątane w kurzu.
za gwiazdami jest niebo, i gra mleczna droga, z ciemnej, winylowej płyty.
trzeba wziąć się w garść. między okiem a oknem zakotwiczyć cztery ściany
na skale. zawierzyć latarni pomiędzy *tu* i *teraz*. przebłągać miejsce w sobie,
przepłoszyć łyż z policzka, z piersi kamień, nazwać na nowo. co dawno
[nazwane.
z okruchów tego, co już było, zlepić przyszłość w świat czterolistnej koniczyny.
wygrzebać psa spod płotu. zamienić się w las.

tak chciałbym. nachalny w swej nieobecności, w ciepłym znaczeniu słowa,
zapachu sieni, rozmienić na drobne los. oprzeć plecy o kaflowy piec, rozpalić
[święteczny



ogień. rozsiać się przed nim w wilgotnych dniach, aż słońcem zamruczy
[fotel. sen zawinie
się w zielen, i wszystko się potoczy odwijaniem kłębka. niezależnie od czasu,
[niezależnie od
miejsca. tu wszystko zależy od trwałości tego, co zostało w nas z białej karty
[bloku, której
nikt nie zapisze turkotaniem wozów. poetyka bliskości sacrum i profanum.
[nasze Emaus.
wtedy nawet Bóg wydaje się młodszy, jak o poranku, wyniesione nad
[horyzont monstrum.

i chciałbym jeszcze wierzyć, że to tylko chwila, wiatru zimny dotyk.
[w „Zadymce”
Chelmońskiego zagubiony krzyż. w jednym odbijamy się lustrze zapatrzonym
[w niebo.
milcząc o cierpieniu, przeczekujemy wędrowanie słońca. od kamienia
[po kamień,
pod który kiedyś pot się wturlał. dobre spoiwo fundamentu z dachem. z kopert
najbliższych ciała wyciągam zapomniane listy, otwieram adresy do nieobecnych.
tam deszcz wciąż nasącza kamienie w ciężar nie do uniesienia. i ptaki częściej
wysiadują parapety niż gniazda. podpieram się o siebie, idę. jeszcze.

tam, gdzie wiatr pochyla głowę przed Matką pod dziurawym dachem,
[przez który
słońce schodzi z tronu, prowadzi do drzwi i przekazuje znak pokoju
[niezdecydowaniu
- co wejść ma pierwsze - kamień, czy źdźbło trawy? -



Psi pejzaż

moja wieś została daleko za kołami wozu, jak między dźwiękiem a skorupą
[dzban.
wzdłuż kolein rozrasta się turkot, narasta do nieprzyzwoicie głośnych
[westchnień.
płaczów i uniesień. czasem przechodzi tak blisko, że wystarczy zamknąć oczy,
by wszystko potoczyło się po dawnemu, w papierowy świat pamiętnika.

wyłuskuję z niego niedojrzałe kłosy; są jak włosy splecione w warkocze
[dziewczęce.
dotknij, a poczujesz pędzel zbierający alabaster rosy w promienisty błękit. szeroki
niczym delta nilu albo amazonki, brązowiejący południowym słońcem,
[święty jest
ten spokój, bezkolizyjne mijanie się światów w harmonii światła, pod auspicjami

monologu bata. szukam wytłumaczenia tego stanu rzeczy, podobno sztuka
[rodzi się
w bólach przepychu barw i dźwięków, na progu zasłuchanym w pykanie
[fajki,
w zapach chleba. są jak ołówek i papier, sepiową fotografią zmęczonej
[pamięci.
przyjdź, poczuj ból i piękno dziesięciopalczastych pogawędek z kosą.

podobno kod szerszeniego gniazda jest nieprzetłumaczalny na żaden język,
ani dialekt świata. przeciwnie do *ojcze nasz, który jesteś pijany*. lęk który
[przyszedł
nie wiadomo skąd i po co; nie chce być wypatrzony, ale chce być czuty. łąsi się
[jak kot
do koron samosiejek, tu turkot wozów jest werblem ziemi, sypanej na ostatni
[kopiec.

golgotą dla odprowadzających czas, w ciemność która goi, spijając jad
[z naciętej rany
wzruszeń. szukałem ich w piasku, piasek stygł jak obrazy pod czaszką,
[odbierał stopom



dotyk. podobno dano nam tylko to, co możemy unieść, pnać się
[po lodowacającym stoku,
aż do ostatecznego piętra. a ja toczę swój kamień, z jednej ziemi w całą
[wszechświat.

do ciebie idę, wracam w zimne jutro, Matko Ziemi o zielonych oczach,
[zanim kości moje
rozwlecze po świecie, nadgryziony solą czas. zabarwi złotawo spalinowy
[deszcz, który jest
jak pierwsze wiercenie dziury w ostatniej desce ratunku. potem rozlewa się
[rzeką dat.
moczę w niej stopy, oddycham pierwszą lepszą myślą, odrabiając lekcję
[cierpliwości.

fruwanie nie boli, zwłaszcza gdy nie ma się skrzydeł, a każdy pagórek jest
[górami oliwną,
albo oliwkowym gajem, gdzie wszystko się wydaje naiwnie niewinne. dopóki
[w szybę
nie zapuka ptak, jak pajęczka samotność zaplątany w zdyszany oddech
[spadających liści.
dopóki można pytać, gdzie podziały się nogi gdy poczuły się boso, i czemu
[Bóg nie patrzy

tam gdzie patrzeć powinien. dlaczego żadne słowa nie są odpowiedzią,
[jak odnaleźć dom.
moja chroma wieś kuśtyka wraz ze mną, by ogarnąć miejsca za sobą
[i w sobie, na które
nikt nie czeka, nie pamięta, nie wywróży z kart. proste czynności przyprawione
[kurzem
są jak dni, nad którymi zamknęły się wieki. merda we mnie psi ogon. pies śpi
[na kanapie.



Pamięć

pamiętam dudka z dziupli starej czereśni,
i historie z miejsc zdeptanych bosymi stopami.
zimne dłonie ogrzewające martwe truchła piskląt,
groby kotów i lalek o imionach z bajek.
zaschniętą krtań, i płetwy ryb w zębach rzeki,
niesionej po grzbietach kamieni
na przeciwległy brzeg egzystencji.

widziałem wiele śmierci, i świtów ostrzających brzytwy
na paskach nieskazitelnej czerni. słyszałem świst bata
krojący chleb dla dzieci, piszących wiersze o wojnie.
o wszystkim, co zostało w nas najtrudniejszą pustką.
wiodły mnie pokrętne ścieżki w wietrzne sny
o galicyjskiej ziemi spowitej w welony, których nie ma
nigdzie indziej. nawijające na szpulę dwukolorowy film.

najciekawsze z amplitud najprawdziwszych chwil.
imion wpatrzonych w parujące talerze, i przebity bok
brzozy, z której uciekało życie uzdrawiającą wodą.
i ojca głos, jak skwierczenie knota zanurzonego w nafcie.
zmartwychwstający we mnie martwą nocą, kiedy oddycham
najpiękniejszym wierszem, odmierzającym czas na krzyżu
słonecznym, robiąc miejsce temu, co jeszcze przed nami.

place zabaw, huśtawki nastrojów. rzeczy które się lubi,
i których się unika, wrośnięte przytulią w ściany domu,
i których nigdy nie zrobię. niedorośle do odpowiedzi,
dorosłe do pytań, jaki jest odpowiedni moment na wyrastanie.
z krótkich spodenek, wierszy, z siebie. rozedrganą gestykulację
oddziedziczyłem po burzliwym dzieciństwie, w którym
przyszło mi urządzić pogrzeb kota.

potem to już tylko konsekwencja zamierania tkanek,
kurczenia się świata do rozmiarów zakurzonego ciepła,
w obcym mi pokoju. zimna ziemia i ciemna sierść kota.
zlewają się barwy nocy w punkt wyjścia. jedyne miejsce
do którego się wraca po omacku. zapalasz papierosa,
i wszystko gaśnie. dym przylega do światła, jak bandaż
do rozległej rany, jak garb do pleców, śmierć do życia.



trzeba się spieszyć, żeby zdążyć dojrzeć przed jutrem,
zatrzeć ślady powłóczyстых spojrzeń w tamtą stronę pamięci
między skorupą a brzękiem. zanim wnyki zacisną na szyi
palce zniewolenia, zanim wzejdą głązy z rozsianych kamieni.

III nagroda

Edyta Wysocka

Odcinanie stronic

*Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje*

Jan Kochanowski

Ten czas
Ma pochylony kark
Drzemie w strumieniach
Zmarszczek
Zagląda do ciemnych pokoi
Wraca lękami dzieciństwa
Jakby bał się przebudzenia

Nie robię nic
Nie trzeba
Świat się nie rozszerza
Nadzieje w kamień oparwił
Wypełnia kąty
Obkurcza kontury jutra

Starość to zaulek
Przeznaczenie podparte laską
Bez pragnień
Do którego przecież



Wstępujemy sami
Jak w myśl
Chociaż jeszcze oddech
I bicie krwi w żyłach

To tak jakby Bóg
Omotał życie
Martwiejącymi liśćmi
I stajemy się niekartkwalni
Nadchodzi mróz
Odcina stronice
Z przypisaną
Odwieczną nieumiejętnością
Umierania

Umknąć

*Nic wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie.*

Jan Kochanowski

Czy tyle nas
Ile w głodzie trwania
W blaskach i błędach
Doczesności
Obrazy odpływają
W pocie spraw
W codziennych bzdurach

Jacy jesteśmy mali
Gdy pozostawieni sami sobie
Kryjemy się w swoją ciszę
Gdzie rzeczy są
Zaraz ich nie ma
Raz w słońcu
Raz w deszczu
Bo życie niczym śnieg
Dużo go na początku



Lecz zmierza tam
Dokąd idziemy
Prawem odpływu

Umknąć
Z powietrzem
Cicho
Kocio
Zawiesić niezauważalnie
Jak lekki sylf dmuchawca
Sklejoną lotność otworzyć
Nieczułe palce
W jasność zanurzyć
Gdy jeszcze
Bicie serca

Lecz
Znowu ktoś odszedł
W słońcu
Jak przelotne pięć minut
Jak infantylny żart
Jak nietakt
Biologicznego uścisku



Niechby

*Miło szaleć,
kiedy czas po temu.*

Jan Kochanowski

Teraz nie tak
Odległość zdarzeń
A tam barwne krajobrazy
I śmiech pełen nas
Uchylają się drzwi
Po stopy ręce i usta
Wypełniają wschodami
I drobiazgami
Gdzie ty szukasz nietoperzy
Zwróconych ku światłu
I ja czegoś tam bez sensu
I siorbię z twojej dłoni
Zmięte żurawiny
Zaglądam w niebo
Jak w słońce jaskrów
Którymi obrzucasz mnie
Niezgrabnie
Pajęczyny we włosach
I błoto wszędzie
Natura wyzwolona z sieci
Kusi i zaskakuje
Święte obrazki brudnieją

To wciąż ty
Co z procy
Pestkami do ptaków

Mówisz
Niechby życie na zawsze
Pozostało dzieciństwem
Bo tam grzechy
Drobne
Delikatne
Afrodyzjaki niewinności
Jak święta najświętsze
I ból ich ciepły
łzy
Tylko dobrymi łzami
O taaak...



Wyróżnienie

Bogdan Nowicki

Orszulka

Chciałabym przysiąc przy twoim łóżku bez słowa jak zwyczajne
dziecko przy chorym ojcu.

Wszystko już wiem, więc chcę milczeć.

Właśnie wybrałam się po raz pierwszy do ogrodu
odkąd mnie nie ma. Zobaczyłam sukienki sióstr, biegające dookoła
lipy, pod jaką siadałeś.

Za chruścianym płotem skoszone trawy,
W których się kryły poziomki, każdą jagódkę nieuchronna
kosa przecięła w pół.

Dalej las w jeziorze, jezioro w lesie – wszystko tak
jednorodne, że zapragnęłam dotknąć gałęzistej tafli wody,
a to tylko chwiały się drzewa, przewrócone do góry korzeniami.

Nie przyjdę do ciebie jako widziadło, twoja pamięć źle by mnie potraktowała,
ja tylko chcę przytulić łzę do twojej ojcowskiej ręki, zostawić przy twym fotelu
safianowe pantofle...



Ostatni wers

Po Czamolesie chodzi syty zielenią wiatr,
dygocą białe poduszki na sztachetach.
Staruszkowi Janowi przyśnił się Bóg –
miał w ręku dzwoneczki kwiatów
i uśmiechał się smutno na tle brzęczących
lip.

Zaskrzypiał żuraw u studni.
Praczki prały białiznę: koszule, spódnice
i prześcieradła, mydlaną wodę
wylewając do rowu.

Roje jaskółek w powietrzu zawisły –
lecą do nieba protopłaści pisma!,
na ziemi pozostawiwszy mchem porośłe
deszczułki szerniałych, pogiętych gontów.

Staruszkowi Janowi białość siwa
coraz gęściej wplata się w skroń, pilnie
kaligrafuje do swojej Orszuli: – Strój się w paradny,
w gwiazdy haftowany letniczek,
wnet powitam cię, córko...



Dom pogorzelnca

Dom ostukiwany laską ślepeca,
dom bez poręczy,
dom z krzywą wargą parapetu,
dom zagrzybiały, ze strużką rdzy na ścianie –

w nim wiatr chodzi o kulach
po dziurawych schodach, co kwadrans
zgrzyta sprężyna
okopconego zegara. Izba szronieje
na wiszących obrazkach.

Dom biedaszyb,
skąd w parcianych workach wynosi
szczerstwiałe skorupy żal: ceratę stołu, talerze
z czarną rysą, pękające jak struna, widelec
bez bocznego zęba, łyżkę zgiętą w pół...

Dom, gdzie jest piec
płaszczem zamarzłym okryty.



O konkursie

Już po raz trzeci oddajemy do rąk czytelników pokłósie dziesięciu konkursów literackich „O dzban czarnoleskiego miodu”, które zostały zorganizowane w latach 2012–2021 w ramach Czarnoleskich Spotkań Sobótkowych. Jednak należy to podkreślić, że miniona dekada była najtrudniejsza ze wszystkich trzech. Po pierwsze w latach 2012–2017 i w 2020 roku nie było dotacji zewnętrznej. Po drugie ze współorganizacji Konkursu wycofała się Miejska Biblioteka Publiczna w Radomiu, która dotychczas partycypowała w kosztach jego organizacji. Ponadto w połowie tej dekady odeszli – z przyczyn naturalnych – wieloletni członkowie Zarządu: prezes Tadeusz Derlatka, wiceprezes Waclaw Kuś, skarbnik Genowefa Podgajniak, sekretarz Tadeusz Purtak, kanclerz Kapituły Nagrody im. Jana Kochanowskiego Marian Kuderki. Oni wnieśli ogromny wkład pracy w organizację Czarnoleskich Spotkań Sobótkowych. Należą się im słowa szacunku i uznania. Nakreślone 30 lat temu idee Stowarzyszenia Miłośników Poezji Jana Kochanowskiego „RENESANS” kontynuuje Zarząd składający się ze „starych” animatorów tej organizacji oraz nowy prezes Marian Popis i skarbnik Maria Jaskot. Tak więc w tych trudnych warunkach i w tym kontekście organizacyjnym i zewnętrznym to, że udało się zorganizować kolejne dziesięć edycji konkursu graniczy z cudem. Przede wszystkim – na moje prośby – oprócz dotychczasowych fundatorów nagród w konkursie: pani burmistrz Bogusławy Jaworskiej, starosty zwoleńskiego (Waldemar Urbański, a następnie Stefan Bernaciak), Waclawa Kusia prezesa Towarzystwa Miłośników Miasta Zwolenia, w organizację imprezy z ufundowaniem nagród włączył się wójt Gminy Policzna Stanisław Pająk, a później jego następcą Tomasz Adamiec. Wspierały również konkurs i imprezę – w miarę możliwości – nasze stowarzyszenia: „RENESANS” i Łuczywo oraz Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie. Fundatorem nagród był również p. Maciej Kosowski, miłośnik poezji J. Kochanowskiego.



Ograniczyliśmy ilość jurorów zamiejscowych; tylko w 2014 i w 2017 roku oceniali prace dwaj krytycy z Warszawy, a w pozostałych latach wiersze oceniał jeden znawca z zewnątrz i dwaj przedstawiciele naszych stowarzyszeń, z wyjątkiem 2020 roku, kiedy to wszyscy oceniający wywodzili się z naszego środowiska. Wymieńmy więc jurorów: Jan Zdzisław Brudnicki, Leszek Żuliński, Piotr Müldner-Nieckowski, Marcin Orliński, Jacek Jan Tatak, Tadeusz Purtak, Marian Popis, Renata Pogorzelska-Wojtaszek, Adolf Krzemiński. Najczęściej oceniał prace konkursowe Jan Zdzisław Brudnicki – znany i ceniony krytyk z Warszawy, który twórczo uczestniczył w imprezie finałowej, a także ciepło i kompetentnie pisał w wielu czasopismach o Czarnoleskich Spotkaniach Sobótkowych i o konkursie. Wśród najwyższej ocenionych zestawów poetyckich znalazły się wiersze poetów znanych już z poprzednich lat, co świadczy o sympatii, jaką czują poeci do Konkursu i do Czarnolasu. Oni sami to ciągle podkreślają. Warto wymienić tych najlepszych kontynuatorów: Anna Piliszewska, Andrzej Ziobrowski, Czesław Markiewicz, Bogdan Nowicki, a także nowe indywidualności artystyczne: Edyta Wysocka, Katarzyna Maria Polak, Janusz Pyziński. Wiersze nagrodzone w konkursie zostały zaprezentowane przez autorów podczas Czarnoleskich Spotkań Sobótkowych. Zrezygnowaliśmy z aktorów, instruktorów i recytatorów. Kontakt z poetą czytającym własne wiersze poszerzył doznania estetyczne i poznawcze uczestników Spotkań. Wyrażam nadzieję, że poezja zawarta w tej książce spotka się z życzliwym przyjęciem Czytelników, którym życzę wielu przeżyć artystycznych.

Na zakończenie pragnę podziękować Panu Zbigniewowi Buczmie – prezesowi Stowarzyszenia i Zarządowi Stowarzyszenia „Dziedzictwo i Rozwój” za podjęcie się dzieła wydania pokłosia Konkursu z minionych dziesięciu lat.

Adolf Krzemiński















Rok 2016













Rok 2019









Rok 2021









Spis treści

Wstęp	5
Laureaci Nagrody im. Jana Kochanowskiego 2012–2021	7
Pokłosie Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „O dzban czarnoleskiego miodu” za lata 2012–2021	17
Rok 2012	
Beata Patrycja Klary (I nagroda):	
<i>Znikający ojciec</i>	19
<i>Dom jedwabnych motyli</i>	21
Anna Piliszewska (II nagroda):	
<i>Raptularz czarnoleski – ostatnia zima z córką</i>	22
<i>Muzyka u Jana – Koncert Czarnoleski</i>	23
<i>Raptularz czarnoleski – ulewa</i>	24
Czesław Markiewicz (III nagroda):	
<i>Ja, dziecko z dworca ZOO</i>	25
<i>Nie straszni mieszkańcy</i>	26
<i>Lewa strona obiecanej</i>	27
Paweł Podlipniak (wyróżnienie):	
<i>Coriolanus [Big Bang]</i>	28
<i>No-One Art</i>	29
<i>HOWRU [List prokonsula]</i>	30
Rok 2013	
Czesław Markiewicz (I nagroda):	
<i>Hostel Lambert</i>	31
<i>Wyciąg z pielgrzymstwa</i>	31
<i>Mniejsza Emigracja</i>	32
Andrzej Ziobrowski (II nagroda):	
<i>śnieżynka</i>	33
<i>drzew chochoły w sadach czarnoleskich</i>	34
Agnieszka Szpala (III nagroda):	
<i>Pocztówka z Czarnolasu</i>	35
*** (Na kamiennych tablicach).....	35
*** (Z pórem)	36
Bogdan Nowicki (wyróżnienie):	
<i>Senność</i>	37
<i>Urszula</i>	37
<i>Lunarność przedmiotów</i>	38



Hanna „AVIS” - Zembrzycka (wyróżnienie):	
<i>List do brata</i>	39
<i>Życie jak herbata</i>	41
Zofia Kucharska (wyróżnienie specjalne):	
*** (Wyrosła rozłożysta lipa)	42
*** (Już nas wita piękna jesień)	42
*** (Moja dawna chatka)	43
*** (Jestem sobie ze wsi)	44
Izabela Jaskólska (wyróżnienie specjalne):	
*** (Stoję)	46
*** (Idę)	46
*** (Smuga światła)	47

Rok 2014

Aleksander Lewicki (I nagroda):	
*** (Stworzony z gliny)	48
*** (Zgubiona dusza)	49
*** (Noc, Ty śpisz...)	50
Janusz Pyziński (II nagroda):	
<i>Nie płacz córeczko</i>	51
<i>Ojciec</i>	52
<i>Dzieciństwo</i>	53
Bogdan Nowicki (III nagroda):	
<i>Dowód</i>	55
<i>Obcy</i>	56
<i>Kaligula</i>	57
Anna Piliszewska (IV nagroda):	
<i>łątka</i>	58
<i>szklany ogród</i>	59
<i>asfodele</i>	60
Agnieszka Szpala (IV nagroda):	
<i>ule</i>	61
<i>drzewa</i>	61
<i>mowa</i>	62
Grzegorz Chwieduk (IV nagroda):	
*** (miała jakiś specjalny...)	63
*** (był mocnym człowiekiem...)	63
*** (na twojej szyi...)	63

Rok 2015

Edyta Wysocka (I nagroda):	
<i>Dialog w próżni</i>	64
<i>Psalm</i>	65



10 kwietnia 2010	66
10 kwietnia 2015	66
Bogdan Nowicki (II nagroda):	
<i>Inwokacja</i>	67
<i>Orszula</i>	68
<i>Zespolenie</i>	69
Jan Podlipniak (III nagroda):	
<i>Trzy</i>	70
<i>Niepomnę, niepomnę</i>	71
<i>Haj</i>	72
Adam Tristan Feliks (wyróżnienie):	
<i>Dziękczynienie poecie</i>	73
<i>Poeta pozytywny</i>	73
<i>Na Poezję</i>	74
Hanna „AVIS” - Zembrzycka (wyróżnienie):	
*** (mieni się łąka paletą odcieni)	75
*** (rodzinny dom wyrastał z ziemi podmurówką).....	75
*** (siennik dla dziadka babcia wypychała słomą)	76
Rok 2016	
Janusz Pyziński (I nagroda):	
<i>Testament</i>	77
<i>Akordy</i>	78
<i>Modlitwa</i>	80
Andrzej Ziobrowski (II nagroda):	
<i>słów światło</i>	82
<i>w Czarnolesie</i>	83
<i>oczekiwanie</i>	84
Edyta Wysocka (II nagroda):	
<i>Może to właśnie to</i>	85
<i>My</i>	86
<i>Głód</i>	87
Anna Piliszewska (III nagroda):	
<i>kropla inkaustu. tren</i>	88
<i>telegram do Sokratesa</i>	89
<i>woda. centony Homera</i>	90
Iwona Świerkula (wyróżnienie):	
<i>Czerwony tryptyk</i>	91
<i>Za plecami Lota</i>	92
<i>Wiosenne porządki</i>	93
Katarzyna Wiktoria Polak (wyróżnienie honorowe):	
<i>Czarnolas</i>	94
<i>przystań</i>	95
<i>przeprowadzka</i>	96



Renata Pogorzelska-Wojtaszek (wyróżnienie honorowe):	
<i>Ukojenie</i>	97
<i>Błogość</i>	98
<i>Czarneleskie lato</i>	98

Rok 2017

Janusz Pyziński (I nagroda):	
<i>Życiorys</i>	99
<i>Pejzaże</i>	100
<i>Frasobliwy</i>	102
Anna Piliszewska (II nagroda):	
<i>Widzenie</i>	104
<i>Czarnolas. Sen Boga</i>	106
<i>Melancholia</i>	107
Kacper Płusa (III nagroda):	
<i>No future! Pieśń o spokojnej starości</i>	108
<i>spółka z.o.o.</i>	109
Edyta Wysocka (wyróżnienie):	
<i>Psalm o Ziemi</i>	110
*** (pomiędzy nami)	112
<i>Tylko cisza i kwiat</i>	113
Tadeusz Charmuszko (wyróżnienie):	
<i>Imago</i>	114
<i>Babie lato</i>	115
<i>Obłoki</i>	116
Andrzej Ziobrowski (wyróżnienie):	
<i>wieków księgi</i>	117
<i>Urszula</i>	118
<i>białe łabędzie</i>	119

Rok 2018

Katarzyna Wiktoria Polak (I nagroda):	
<i>Dorota Podlódowska</i>	120
<i>głosy, echa, miraże</i>	121
<i>za drzwiami</i>	122
Anna Piliszewska (II nagroda):	
<i>Kochanowski rozmawia z córką</i>	123
<i>Renety</i>	124
<i>Traktat o czasie</i>	125
Jacek Tatar (III nagroda):	
<i>Ten moment</i>	126



<i>I jeszcze</i>	127
<i>W filmie</i>	127
Tadeusz Charmuszko (wyróżnienie specjalne):	
<i>Czarcoleska lipa</i>	128
<i>Czarcoleskie lato</i>	129
<i>Lipiec</i>	130
Monika Mazur-Mitrowska (wyróżnienie I stopnia):	
*** (zdarzam się czasem)	131
*** (kosmogonia mleczna kołyskowa)	131
*** (agory filozoficzne zarastają bluszczem)	132
Krzysztof Rejmer (wyróżnienie I stopnia):	
<i>Apteczka domowa imć pana Herbutta</i>	133
<i>Hortorum secreta</i>	135
<i>Hieroglyphicum mundi</i>	136
Anna Mikos (wyróżnienie II stopnia):	
<i>Jazz według Jacquesa Loussiera</i>	137
Ela Galoch (wyróżnienie II stopnia):	
<i>Ruiny</i>	140
<i>Swojskie pejzaże</i>	141
<i>Echa</i>	142
Rok 2019	
Janusz Pyziński (I nagroda):	
<i>Skąd idę</i>	143
<i>pytania</i>	145
<i>Dziękuję</i>	147
Andrzej Ziobrowski (II nagroda):	
<i>Nieba geometria</i>	148
<i>wyprawa po dobroć</i>	149
<i>Ziemia strudzona</i>	150
Anna Piliszewska (III nagroda):	
<i>Czarnolas</i>	151
<i>Kochanowski, iter romano</i>	152
<i>Fraszka, lutnia i wino</i>	153
Grzegorz Matyja (nagroda specjalna):	
<i>Między początkiem a końcem...</i>	154
<i>To wszystko po to...</i>	155
<i>Jeszcze jestem</i>	155
Adam Bolesław Wierzbicki (wyróżnienie):	
<i>Kolejność</i>	156
<i>Zanurzeni w lato</i>	157
<i>Przeznaczenie</i>	158
Bartosz Konstrat (wyróżnienie II stopnia):	
<i>Po śmierci naszych dłoni nie wypełni pustka</i>	159



<i>Nogi wiatraków w morzu</i>	160
<i>Po skończonej miłości</i>	160
Rok 2020	
Anna Piliszewska (I nagroda):	
<i>Pszoniczny czas</i>	161
<i>Pszczóły</i>	162
<i>Przecucia matki. Pożegnianie Orszuli</i>	163
Andrzej Ziobrowski (II nagroda):	
<i>cierpienia Vincenta</i>	164
<i>Noe</i>	165
<i>rabaty i róże</i>	166
Bogdan Nowicki (III nagroda):	
<i>Pieśni</i>	167
<i>Ostatni tren</i>	168
<i>Wymóg</i>	168
Janusz Pyziński (wyróżnienie):	169
<i>Pamiętam</i>	169
<i>Tu i tam</i>	170
<i>Modlitwo moja</i>	171
Edyta Wysocka (wyróżnienie):	
<i>Górskie witraże</i>	173
<i>Zaduma</i>	174
<i>Wiosenne przebudzenie</i>	175
Rok 2021	
Anna Piliszewska (I nagroda):	
<i>Czarneleski gmerk</i>	176
<i>Kotysanka dla Orszuli</i>	177
<i>Magdalenka Śródpolna</i>	178
Janusz Pyziński (II nagroda):	
<i>Chciałbym</i>	179
<i>Psi pejzaż</i>	181
<i>Pamięć</i>	183
Edyta Wysocka (III nagroda):	
<i>Odcinanie stronc</i>	184
<i>Umknąć</i>	185
<i>Niechby</i>	187
Bogdan Nowicki (wyróżnienie):	
<i>Orszulka</i>	188
<i>Ostatni wers</i>	189
<i>Dom pogorzelca</i>	190
O konkursie	191

